



Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 4 (1608)

22 STYCZNIA 1989 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Jak Niemcy rozgrywali sprawę katyńską — str. 4
- Zwierzenia człowieka, który rozstrzeliwał — str. 10
- Niespokojna noc sylwestrowa w Żorach — str. 1 i 7
- Plaszczyz w dolarowe lata — str. 6



Przedwojenną Łódź z lotu ptaka.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Po obu stronach dawnej Piotrkowskiej...

ADAM OCHOCKI

— Co z naszą starą łódzką gwardią? Kto poza panem wrócił do dziennikarstwa? — Kto zajął przedwojenne pomieszczenia „Republiki” i „Expressu”? — Czy zegarmistrz Sołowiejczyk żyje? Przed samą wojną dałem mu do reperacji złotą „Omegę”, już nie zdążyłem jej odebrać... — Co porabia Wacek Wagner? Pamięta go pan? Kierownik Polskiej Agencji Telegra-

ficznej. Przed wkroczeniem Niemców do Łodzi uciekliśmy razem kupioną dorożką. W Łucku podczas bombardowania nasze drogi rozeszły się. Ja pojechałem pociągami do Lwowa, Wacek dorożką na front... Pytaniami zasypywali mnie, przekrzykując się nawzajem: mój dawny szef, redaktor naczelny „Expressu” Władysław Polak, i mój kuzyn Stefan Kalus, redaktor sportowy obydwu naszych gazet. Siedzieliśmy w

mieszkanie kuzyna, 60 Denbigh Rd w Melbourne, dokąd w 1956 r. wybrałem się na Olimpiadę. Kuzyn w latach wojny osiadł na stałe w stolicy stanu Victoria, redaktor Polak — w Sydney, skąd przyleciał specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. Zaspokoiłem ciekawość obu panów, powspominaliśmy dawne dzieje, po czym, ćwicząc naszą pamięć, wyliczaliśmy dom po domu wszystkie skle-

py mające do wojny swą ścieżkę po obu stronach Piotrkowskiej — od Zielonej do Andrzeja, od Narutowicza do Przejazdu.

Zabierając się dziś do tego artykułu na próżno usiłowałem odtworzyć status quo sprzed pół wieku. Od spotkań na antypodach też minęło sporo czasu. Taśma filmowa z obrazem dawnej Łodzi, nawet tak znanego odcinka Piotrkowskiej, wyblakła, zatarła się w pamięci. Co gorsza — nie ma kogo zapytać, co i gdzie wtedy było. Odeszli na zawsze koledzy dziennikarze z tamtych lat: Stanisław Kempner-Chruszczewski, Mieczysław Jagoszewski, Henryk Rudnicki, Feliks Bąbel... Napisać do Australii? Mój kuzyn i redaktor Polak złożyli kości dwadzieścia kilka tysięcy kilometrów od swojej ojczyzny.

Komunizm jest wymysłem pobożnych chrześcijan. Pierwsze gminy założyli apostołowie Jezusa; prekursorem nowożytnych utopii jest święty Tomasz Morus; a państwo komunistyczne utworzyli ojcowie jezuici trzysta lat przed bolszewikami...

Czy można zbudować socjalizm?

EDMUND LEWANDOWSKI

Na tytułowe pytanie odpowiadam od razu przecząco. Po dojrzałym namyśle twierdząc, że socjalizm zbudować nie można. Zadanie to przerasta siły rządu, partii, klasy, narodu, ludzkości. Nikomu nie udało się dotąd urzeczywistnić abstrakcyjnego modelu społeczeństwa. Nie da się bowiem w sposób świadomy i planowy kierować procesem historycznym. Jesteśmy skazani na alienację ekonomiczną, polityczną, ideologiczną, religijną. Tylko wszechmogący Bóg, jeśli istnieje, może sterować biegiem dziejów ludzkich.

Nasze możliwości kształtowania historii według przyjętych ideałów są bardzo ograniczone i raczej niewielkie. Możemy reformować społeczeństwo, lecz nie budować od podstaw. Świadczy o tym następujące fakty. Po pierwsze — ludzie nie ustalają dowolnie celów swoich działań. Mają ograniczone pole wyboru. Po drugie — udział świadomości w zachowaniach ludzkich jest znacznie mniejszy niż się przypuszcza. Po trzecie — nawet zupełnie racjonalne i logiczne działania zmierzają w różnych kierunkach, a historia stanowi nieświadoma wypadkowa. Po czwarte — nie można naukowo przewidywać rozwoju społecznego. Przyszłość jest zasadniczo nieprzewidywalna.

ZMORA TRADYCJI

Na czym polegają ogranicze-

nia w wyborze celów? Odpowiedź jest prosta. Każde pokolenie zastaje rzeczywistość (przyrodniczą i społeczną) już jako ukształtowaną. Podłoże geograficzne, biologiczne i kulturowe oraz sytuacja geopolityczna narzucają pewne zadania do rozwiązania. Zastana rzeczywistość zawiera konkretne wyzwania (wewnętrzne i zewnętrzne), na które trzeba znaleźć adekwatne odpowiedzi.

Wybór celów zależy również od dostępnych środków i ludzkich kwalifikacji. Szanse realizacji celów mają ci, którzy mierzą zamiary według sił. Przesławienia abstrahujące od realiów nie mogą być urzeczywistnione; rozbijają się o twarde rafa rzeczywistości.

Ustalając cel działań społecznych musimy ponadto liczyć się z potrzebami, interesami i systemem wartości ludzi teraźniejszych. Najpiękniejszy ideał nie zostanie zrealizowany, jeśli nie będą nim zainteresowani ci, którzy mają go urzeczywistnić. Nie wolno ignorować nawet gustów, nie mówiąc już o nawykach, wierzeniach, przesądach, uprzedzeniach.

W znakomitej pracy pt. „Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte” opublikowanej w 1852 roku Karol Marks pisał:

3

W budynku Urzędu Miasta wybuchła bomba (prawdziwa)!

W noc sylwestrową w Żorach

MIROSLAW KULIS

— Huk eksplozji był tak silny, że przez moment poczułem się jakbym był w kopalni na przodku — wspomina 43-letni Stefan Grygieracki, palacz kotłowni znajdującej się w piwnicy Urzędu Miejskiego w Żorach, w województwie katowickim.

Sylwestrowy zamach bombowy na Śląsku jest największym w Polsce, od czasu kiedy bracia Kowalczykowie w połowie lat siedemdziesiątych zniszczyli aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Szczeliwym zbiegiem okoliczności obecny wypadek, podobnie jak tamten, nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach.

Jedną z nich mógł być właśnie Stefan Grygieracki, najbliższy znajdujący się od miejsca wybuchu. Bombę podłożono w nocy z 31 grudnia 1988 r. na 1 stycznia 1989 r. pod gmach Urzędu Miejskiego w Żorach.

— Byłem jedynym człowiekiem, który w momencie eksplozji przebywał w tym budynku — relacjonuje. — Dyżur przebiegał spokojnie. Odpoczywałem w swoim pokoiku, położonym w tylnej części obiektu w piwnicy. To mnie uratowało. Od miejsca wybuchu dzielił mnie korytarz, pomieszczenia piwnicy znajdujące się od frontu oraz strop piwnicy. Gdybym jednak akurat w tym momencie szedł korytarzem, to znalazłbym się w poważnym niebezpieczeństwie. Wybuch poderwał mnie na nogi i natychmiast wybiegłem zobaczyć co się stało. Wszędzie zalegało szkło, niektóre drzwi były powyginane bądź rozbite. Peko dymu i kurzu. Zbladłem z przerażenia. Na szczęście kiedy wydostałem się na zewnątrz, było już bardzo dużo ludzi i to mnie nieco uspokoiło...

Stefan Grygieracki pracował poprzednio m.in. w kopalni jako cieśla. Na górnicze wybuchy natrafił się sporo. Teraz z miną znawcy analizuje sylwestrową eksplozję.

— To z pewnością nie był „netanik” — mówi. — Ten materiał nadaje się do miękkiego podłoża, a nie betonowego, jak było w tym przypadku. Sądzę, że posłużono się dynamitem albo karbo-cytem...

Na materiałach wybuchowych zna się tu zresztą każdy. Znaczną część mieszkańców Żorów to górnicy miejscowych kopalni bądź też pobliskiego Jastrzębia. W dodatku tradycja sylwestrowa na Śląsku każe czcić przyjęcie Nowego Roku głośnymi i barwnymi fajerwerkami. Młodzi ludzie szykują petardy, race, zimne ognie, które tuż po północy wyrzucają z balkonów i okien.

— Jeśli nasza młodzież chce zrobić solidny materiał wybuchowy, to wcale nie musi prosić ojca, by wynieść troły z kopalni — oburza się jeden z górników kopalni im. S. Krupńskiego na sugestię, że współsprawcą mógł być któryś z jego kolegów. — Wystarczy wejść do dowolnego sklepu fotograficznego, by dostać wszystkie potrzebne składniki. Od tatusia górnika należy zdobyć odpowiedni przepis...

— W Sylwestra po ostatnim dwunastym wybieciu zegara rozpoczyna się w mieście kanonada — mówi mieszkaniec bloku mieszkaniowego najbliższego stojącego Urzędu Miejskiego. — Biegniemy do okien i podziwiamy iluminację. Tym razem też tak było. Wydawało się nam,

7

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Andrzej Gebarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Białejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i
Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 36-50-11.

Organizacja reklam: Andrzej
Bartolowicz tel. 36-80-89.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

Druk: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucji i zakładów pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1638 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począta wyżyła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 2389. D-10.

Przegląd prasy

W połowie listopada 1988 r.
miało zaufanie do Lecha Wa-
łęsy 48 proc. dorosłej ludności
Polski, nie miało zaufania
45 proc., a reszta deklarowała
brak zdania bądź nieznajomość
osoby. Natomiast do ministra
spraw wewnętrznych Czesława
Kiszczaka miało zaufanie 40
proc. Polaków, a nie miało 39
procent. Wyniki tego sondażu
opinię podał na łamach „PO-
LITYKI” (nr 1) Stanisław
Kwiatkowski.

Spółród innych osób propo-
nowanych do rozmów przy „o-
krągłym stole” największym
zaufaniem cieszą się: Aleksan-
der Gięsztor — 32 proc., Je-
rzy Ozdowski — 28 proc., Sta-
niśław Kwiatkowski — 26
proc., Stanisław Ciosek — 22
proc., Jan Szczepański — 20
proc. Większość respondentów
nie zna ich bądź nie ma zda-
nia. Nawet ksiądz Alojzy Or-
szulik (sekretarz pomocniczy
Konferencji Episkopatu Polski),
którego darzy zaufaniem 17
proc. Polaków, jest obojętny
bądź nieznany dla trzech
czwartych społeczeństwa.

Najwięcej respondentów nie
ma zaufania do następujących
osób: Jacka Kuronia — 48
proc., Adama Michnika — 34
proc., Stanisława Ciołka — 29
proc., Władysława Frasyniuka
— 23 proc., Bronisława Gera-
ka — 16 proc. i Jerzego Oz-
dowskiego — 14 proc. Ale rów-
nież ich bardzo dużo ankieto-
wanych nie zna bądź nie po-
trafił ocenić.

Z cytowanych badań wyni-
ka, że tylko 16 proc. Polaków
pragnie uczestniczyć w rządze-
niu. Natomiast aż 74 proc.
chce, żeby inni ludzie dobrze
rządzili. Pozostałym trudno od-
powiedzieć na to pytanie. Z
postępu demokracji w Polsce
zadowolonych jest 48 proc., a
niezadowolonych 50 proc. res-
pondentów.

DYLEMATY ZWIAZKOWCÓW

W trudnej sytuacji kraju ak-
tywizują się kręgi opozycyjne
i komórki zdelegalizowanej
„Solidarności”. W każdym
większym zakładzie istnieje
struktura dawnej „Solidarności”
i zdobywają coraz więcej
zwolenników. Rodzi to nowe
problemy dla legalnego ruchu
związkowego. W obszernym ar-
tykule na łamach „ZWIAZ-
KOWCA” (nr 2) Ryszard Na-
leszkiewicz twierdzi, że dzia-
łające związki nie unikną
walki politycznej.

„Została ona narzucona po-
raz kolejny przez podziemie,
nie mające innego wyjścia.
Podziemie bowiem musi atak-
ować — inaczej nie zaistnie-
je ono jako realna siła poli-
tyczna. Inaczej jego ludzie po-
zostaną nieznani szerzej, spala-
ją się wewnętrznie, zniechęca-
jąc, zrezygnują. Jest teraz dla
nich dobra pora. Polska prze-
żywa kolejny zakres gospodar-
czy, znów półki sklepowe pusto-
szeją, znów ludzie żyją w
niewierze i niepewności, znów
nie wyszedł kolejny manewr
gospodarczy. Podziemie musi
więcej atakować dziś i teraz.
Gdy się bowiem w państwie
poprawi, gdy gospodarka się u-
stabilizuje, gdy niezadowolone
opadnie — zniknie baza, będzie
mniej chętnych do strajkowa-
nia o politykę. A stan taki
niszczy każdą zawodową kons-
pirację.

Wydaje mi się, że obecny
stan walki politycznej nie uda
się przecząć aktywności wiel-
kich zakładów. Przegrają wszy-
scy ci, którzy wierzą nadal, iż
załoga przyjdzie do nich sama,
przekona ich uczciwością i
dobrymi chęciami. Że fakty
wyrzucania drobnych potyczek,
zdobywania nowych miejsc
wczasowych czy zwiększenia
liczby wycieczek zagranicz-
nych, rozdzielania kolejnej par-
tii telewizorów kolorowych czy
pralek automatycznych —
zjedną jej kolejnych zwo-
lenników. Nieprawda. Takie
jednostkowe działania mogą
nawet wesprzeć podziemie w
jego zjadliwej ironii, wyki-
pianiu, szydzeniu. Tu trzeba
pójść rękawicę i szeroko
działać w skali całych załóg.
Trzeba walczyć o nowe po-
rozumienia zakładowe, plac, o
mieszkania (nie dwa czy cze-
tery — o rozwiązania systemo-
we), o czas pracy, leżnictwo,
bezpieczeństwo pracy, o bazę
wypoczynkową (nie o posze-
rzone wcasy), o przestrzeganie

prawa do godności ludzkiej w
stosunkach między przełożonymi,
mi. Trzeba ciepło draństwo, ku-
moterstwo, układy, kliki wszę-
dzie tam, gdzie robotnicy je
dostrzegają. I trzeba robić to
głośno, głośno i jeszcze raz
głośno. (...)

Pasywność może tylko zgubić,
skończyć się taczkami przy
najbliższym „dzikim” strajku,
skończyć się odpływem ludzi z
organizacji. Nie ma co liczyć
na sojusze, na partię, dyktację,
PRON, władzę, prawo. Każdy
teraz ma swoje kłopoty, frus-
tracje, niepokoje”.

TROJKĄTNY STÓŁ

Niektórzy liczą na zawarcie
porozumienia przy „okrągłym
stole”. Ale potencjalni uczestni-
cy nie spieszą się do rozmów.
Jan Szczepański pisze w „TY-
GODNIKU POLSKIM” (nr 3),
że przyczyną zwłoki jest „zwy-
cie” polityczne głównych parti-
nerów. Żadne ugrupowanie nie
ma sprzecywanego programu
działania.

Przy stole zasiadają represen-
tanci trzech zorganizowanych
sił: a) PZPR i jej sojuszników;
b) Kościoła i związanych z nim
grup; c) „Solidarności” i innych
postaci opozycji. W ten sposób
powstanie „okrągły trójkąt”.
Trzeba więc skończyć z mitem,
że wpływ polityczny mogą wy-
wierać nie zorganizowane zbio-
rowości społeczne. Przy „tró-
kątnym stole” zabraknie miej-
sca dla niezależnych bezpar-
tyjnych.

„Jest to okazja, by rozwią-
zać także mit politycznej roli au-
torytetów niepolitycznych. Gdy
człowiek o tak wielkim autory-
tecie moralnym i religijnym jak
ks. kardynał Wyszyński wygło-
sił kazanie sprzeczne z intere-
sami różnych grup opozycji po-
litycznej, nie zaważyły się one
ostro go zaatakować. Gdy po-
lityka nie jest grą autorytetów,
ale grą interesów. W okrągłym
trójkącie mogą się więc spot-
kać tylko grupy o wyraźnie o-
kreślonych interesach politycz-
nych. Ani nie zorganizowane siły
polityczne, ani różne autory-
tety nie mogą stanowić zaokrą-
glenia kątów trójkąta ani zmie-
niać długości jego boków. (...)

Czy ten trójkąt można prze-
kształcić w czworobok? Sądzę,
że tak, że tworzą się w spo-
łeczeństwie siły, których nie u-
miem nazwać, które może stwo-
rzą czwarty i nie zużyty blok,
zdolny utworzyć czwarty bok
dający obraz aktualnego „o-
krągłego trójkąta”. Ale to już
inne zagadnienie”.

Z kolei prof. Henryk Sam-
sonowicz twierdzi w wywła-
dzie udzielonym „POLITYCE”
(nr 3), że przypuszczalnie 3-4
miliony Polaków z przyczyn po-
zaideologicznych zainteresowa-
nych jest utrzymaniem dotych-
czasowej formy systemu. Przy-
stosowali się bowiem do okre-
ślonego sposobu życia.

„Od państwa dostają zapo-
móg, która się nazywa pensją
i otrzymują świadczenia socjal-
ne, natomiast w godzinach pra-
cy wykonują usługi na boku,
co daje im w miarę godziwy
zarobek. To, co daje im opie-
kuńcze państwo, bo niewątpli-
wie pełni ono rolę opiekunczą,
jest zapomogą powodującą, że
ludzie mają możliwość zarob-
kowania prywatnego”.

Henryk Samsonowicz przez
trzydzieści lat należał do partii,
lecz później został z niej usunięty.
Obecnie jest przewodni-
czącym zespołu nauki i oświa-
ty Komitetu Obywatelskiego
przy Lechu Wałęsie. Do partii
wstąpił kiedyś z głębokim
wewnętrznie przekonaniem, że
socjalizm jest systemem spra-
wiedliwoci społecznej.

„To, co się działo w Polsce
po II wojnie, wprowadzało tak
głębokie przeobrażenia, o ja-
kich współczesna młodzież nie
ma zielonego pojęcia. A że przy
okazji drugofoła się, niestety,
wiele wartości, na których o-
pierało się życie społeczne, hi-
storyczne, kultura narodowa, z
tego wówczas nie zdawaliśmy
sobie w takim stopniu sprawy,
co nie stanowi dla nas żadnego
usprawiedliwienia. Naszemu po-
koleniu wydawało się po pro-
stu, że oczyszcza się plac bu-
dowy pod nowy, wspaniały
gmach. Dziś okazało się, że ten
plac został już zabudowany i
za dużo na nim bałaganu”.

STALINIZM EKONOMICZNY

Obecnie wyraźnie widać, że
stworzyliśmy głęboko nie logiczny
i wewnętrznie sprzeczny system

gospodarczy. Mówi o tym na
łamach tygodnika „PRAWO I
ZYCIE” (nr 2) prof. Wacław
Wilczyński z Akademii Eko-
nomicznej w Poznaniu.

„Jest to ekonomiczny wyraz
feudalnej reakcji w łonie so-
cjalizmu, który podzięto pod
ideę socjalizmu. Twór patolo-
giczny, polegający na usunie-
ciu zeń demokracji, oddolnej
mikroekonomicznej optymaliz-
acji, na zbudowaniu anachro-
nicznego systemu hierarchicz-
nego, nie mającego nic wspóln-
ego z racjonalnością ekono-
miczną. Oczywiście, stalinizm
nie jest ani nieuchronnym, ani
naturalnym produktem socja-
lizmu. Wyrasta bowiem z in-
nego paradygmatu niż socja-
lizm. Jest to paradygmat bez-
prawia i masowych represji,
wyrastający z niewolniczo-feu-
dalnej koncepcji sprawowania
władzy, bazujący na obojętnej
niecierpliwości ideologicznej i
wywłaszczaniu ludzi nie tylko
z prawa własności, ale także
z osobistej inicjatywy i przed-
sięwziętości. Stalinowski sys-
tem ekonomiczny nie stworzył
mechanizmów ekonomicznych
skłaniających do racjonalności
zachowań. Przekreślił rachunek
ekonomiczny zniechęcając do
innowacji. Postawił na głowie
pomiar efektów, uznając sumę
nakładów za efekt. Dlatego po
pierwszym skoku na początku
lat pięćdziesiątych w Polsce i
w latach trzydziestych w ZSRR
struktura przemysłu skamie-
niała. Wciąż trzymano się kur-
czowo prymitywnego przemysłu
ciężkiego pochłaniającego o-
gromne środki i zapewniającego
dzięki temu statystyczne ef-
fekty”.

Bronisław Minc pisze w
„MIESIĘCZNIKU LITERAC-
KIM” (nr 10), że jego brat, Hi-
lary, wznosił toast na cześć Sta-
lina jako twórcy systemu ekono-
micznego socjalizmu. Ale
Stalin przerwał mu i powie-
dzieć, że takiego systemu je-
szcze nie ma.

„Wspomniane stwierdzenie
Stalina ma w pewnym stopniu
samokrytyczny charakter, rzu-
ca światło na sprzeczności ce-
chujące tego człowieka, świad-
czy, że i on musiał w jakimś
zakresie uznawać realia i ugi-
nać się przed nimi. W każdym
razie Stalin, który przecież nie
hamował, a forsował swój kult,
zawahał się przed władczeniem
do niego wątpliwego wawry-
nu twórcy radzieckiego syste-
mu zarządzania gospodarczego”.

Stalinizm występował nie tyl-
ko w Rosji, lecz także w kra-
jach o tradycjach demokra-
tycznych. Dlatego nie można
stawić znaku równania mię-
dzy stalinizmem a bizantyzyz-
mem — podkreśla w „PRZE-
GLĄDZIE KATOLICKIM” (nr
3) Barbara Skarga i pisze mię-
dzy innymi:

„Coś tu musiało trafiać do
głębokich a ukrytych warstw
ludzkiej psychiki, do głębi się
w każdym społeczeństwie
tendencji ukrywanych na ogół
przez prawo i tradycję, coś, co
w jednych mogło obudzić in-
stynkty nawet zbrodnicze, lecz
w innych nadzieje, bo to coś
nigdy nie było jednoznaczne, i
z jednej strony zdejmowało
odpowiedzialność za zło, a z
drugiej — było obietnicą do-
bra. Jak mówił ktoś z rozmów-
ców Toruńskiej, nagle wyda-
wało się, że wszystko wolno,
wszystko jest możliwe, że moż-
na zniszczyć, przeorać, wyrwać,
wylać to, co zbędne, i le-
piej według upodobania. Sza-
leństwo władzy — to piekielna
pokus. A władza leżała w
zasiegu ręki i dostępna była
także tym, którzy nigdy o niej
marzyć nie śmieli. Zdejmowało
się ją bowiem nie za cenę
zdolności i pracy, nie dzięki
kompetencjom, talentom, rzut-
kości, wiedzy itd., lecz jak to
się nieraz mówi — za oklaski.
Stalinizm przyniósł awans lu-
dziom zwykłym, a przede wszy-
stkim społecznej miernocie.
Stał się rajem dla przeciwni-
ków, którzy gdzie indziej nie
mieliby żadnej szansy, a tu o-
siągnęli wszystkie przywileje
bez osobistej zasługi”.

Barbara Skarga nie zgadza
się z Leszkiem Kołakowskim,
że było to niewolniczo bez-
panów. W hierarchicznej struk-
turze każdy dążył przed prze-
łożonym, ale czuł się panem
dla podwładnych.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

HASSAN JAMSHEER — adiunkt w Instytucie
Nauk Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego.

— Najwięcej mówiło się o sprawach politycznych. W Insty-
ucie dyskutowaliśmy nad Tezami na X Plenum KC PZPR. Było
wiele uwag krytycznych, trudno byłoby o wszystkim tu powie-
dzieć.

Na zajęciach ze studentami omawialiśmy rolę opinii publicznej
w stosunkach międzynarodowych, a więc i rolę prasy oraz in-
nych środków masowego przekazu. Dyskusja — jak się można
było spodziewać — weszła również na sprawy polskie. Student
mówił więc o potrzebie dalszej demokracji życia politycznego
w Polsce, o rozszerzeniu dostępu do prasy i innych środków
masowego przekazu, o perspektywach, jakie stoją przed młody-
mi, o przyszłym modelu gospodarczym Polski i o modelu socja-
lizmu, dyskutowano o historii ZSRR i Polski Ludowej. W sumie
o wszystkim, co dziś interesuje nie tylko młodych Polaków. Moim
zdaniem to dobrze, że młodzież tak dyskutuje, bowiem świadczy
to o odejściu od obojętności. Politycy teraz zadecydują, czy i jak
potrafią to wykorzystać.

Zajmuję się na uczelni podstawowymi doktrynami islamu i cią-
gle szukam książek z tej dziedziny. W minionym tygodniu parę
tytułów kupiłem, co uważam za sukces. Niepokoilo mnie jednak
rosnąca cena książek. Nie każdego pracownika nauki stać na ich
kupno, a zatem nie może sobie stworzyć warsztatu pracy. Na
biblioteki nie ma co liczyć. One też mają ograniczone możliwości
kupowania nowości, a do pozycji poszukiwanych jest spora ko-
lejka. Robi się przykra sytuacja.

ALEKSANDRA KRONIC — pracownik Teatru
Lalek „Arlekin”.

— Mogłam przekonać się, ile jest prawdy w żartobliwym po-
wiedzeniu, że trzeba mieć dużo zdrowia, aby chorować. Mam w
domu chorego, który wymaga diety. Przekonałam się więc, ile
się trzeba nabiegać, aby zdobyć coś dla chorego i sprostać wy-
maganiam diety. A jeśli się już coś znajdzie, to jest to tak nie-
chlujnie podane, że zgroza człowieka ogarnia. W „Centrum” zna-
lazłam odżywkę produkowaną przez Opolskie Zakłady Koncen-
tratów Spożywczych. Sprzedawano tę odżywkę w taki sposób, że
sporo jej się zniszczyło, po prostu wysypała się. Nie wiem,
czyja to wina, handlu czy producenta opakowań. Ale jedni i dru-
dzy powinni dokończyć starań, aby klient otrzymywał towar w ca-
łości.

Usłyszałam kiedyś, jak Krystyna Janda powiedziała w wywła-
dzie, że jest kobietą luksusową. Zazdrościłam jej dość długo. Ale
na stoisku z kosmetykami przekonałam się, że każda z nas może,
choć przez kilka dni, być kobietą luksusową. Pomadka do warg
kosztuje już teraz 2000 złotych i więcej, i sprzedawcy powie-
działa, że to normalna cena. Dlaczego mogą być luksusowa tylko
przez kilka dni? Bo na cały miesiąc pensji nie starczy.

ZENON J. MICHAŁSKI — prezes Łódzkiego
Oddziału Polskiego Towarzystwa Nauk
Politycznych.

— Gdybym chciał odpowiedzieć złośliwie, wyglądałoby to tak:
pół tygodnia spędziłem w kolejkach po alkohol, a drugie pół w
sklepach mięsnych. Jest to oczywiście nieprawda, ale denerwuje
mnie kompromitująca nas od dłuższego czasu sytuacja, kiedy
przed sklepami monopolowymi stoją tasiecowe kolejki po wód-
kę. Wódki produkuje się przecież nie mało, a w sklepach jej brak.
Trudno to zrozumieć.

A tak naprawdę, to tydzień spędziłem przykładnie, prowadząc
zajęcia na uczelni oraz uczestnicząc w spotkaniach autorskich z
racji ukazania się niedawno mojej książki o Józefie Piłsudskim
„Siwy strzeła strój”.

Książkę wydał łódzki oddział KAW. Nie ma już jej w księgarni-
ach, a zainteresowanie nią jest duże, stąd pretensje do mnie,
że nie można jej dostać. Jedyna nadzieja w drugim wydaniu,
które się ponoć szykuje.

Trochę czasu zajęła mi lektura „Ogłosów”, także przecież mo-
jego pisma. I tu, duże gratulacje dla Andrzeja Kempy za „Rzecz
o cenzurze”.

Notowała: BOGDA MADEJ

Do Czytelników apel serdeczny!

Piszę te słowa z przykrością. Jest mi ciężko, bo to, co
musimy uczynić, nie jest przyjemne. Ani dla Was, ani
dla nas — zespołu redagującego „Ogłosy”. Życie jest
jednak silniejsze od naszych pragnień. Zmusza nas do
zakomunikowania Wam niemiłej wiadomości. Od następ-
nego numeru podnosimy cenę egzemplarza „Ogłosów” z
50 złotych na 80 złotych.

Zmuszają nas do tego okoliczności niezależne od naszej
woli: rosną koszty papieru i druku. W ubiegłym roku
papier zdrożał o 53 proc., a w tym roku o 60 procent.
Podobnie rosną koszty druku.

Przy dotychczasowej cenie bylibyśmy pismem deficy-
towym. A już udało nam się osiągnąć samowystarczal-
ność — głównie dzięki ogłoszeniom. Teraz nawet ogło-
szenia nie pomogą. Prosimy więc o wyrozumiałość.

Zrobimy wszystko, aby nasz tygodnik był bardziej in-
teresujący. Będziemy drukować teksty bulwersujące, po-
uczające, informujące, walczące o sprawiedliwość. Umo-
żliwimy szersze wypowiadanie się Czytelnikom.

Liczymy na Waszą przyjaźń i przywiązanie do pisma.
Prosimy o zrozumienie i wybaczenie.

W imieniu zespołu „Ogłosów”
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„Ludzie sami tworzą swoją historię, ale nie tworzą jej dowolnie, nie w wybranych przez siebie okolicznościach, lecz w takich, jakie już zastał, w okolicznościach danych i przekazywanych. Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń ciąży jak zmora na umysłach żyjących” (MED 8, 125).

Ale nie wszyscy filozofowie i historycy akceptują ten dość oczywisty pogląd. Nie wszyscy dostrzegają podmiotowość ludzką w historii. Niekiedy uważają, że nasze wysiłki niewiele znaczą wobec żywiołu procesu dziejowego. Wybitny historyk francuski Fernand Braudel w ostatnim wywiadzie mówi:

„Ludzie nie tworzą swej historii. Marks myli się twierdząc, że ludzie są twórcami historii; wydaje się natomiast pewne, że to historia tworzy ludzi, którzy jej ulegają”.

O roli człowieka w historii najlepiej świadczy przykład cara Piotra I. Powszechnie uważany jest za twórcę Rosji nowożytnej. A tymczasem his-

przewrotnym dziele czytamy, że życie ludzkie jest tylko „igraszką głupoty” i niczym innym. Mądrzy mają rozliczne kłopoty, a głupcy bogactwami, dostają do steru państw i są szczęśliwi.

NIEŚWIADOMY SPLIT WYDARZEN

Pragnę podkreślić, że jeśli nawet ludzie postępowałyby logicznie, to i tak działania jednostek i grup zmierzają do różnych celów, a historia społeczeństw jest nieświadoma wypadkową. W społeczeństwie liczy się sprzecznych dążeń żadna jednostka czy grupa ludzi nie może spowodować, aby proces dziejowy toczył się według jej życzeń i zamiarów.

Trudno oczekiwać, żeby wszyscy działali solidarnie, skoro możliwości zaspokojenia potrzeb są ograniczone. Poza tym ludzie mają różne gusty, potrzeby, charaktery, interesy. Sprawy komplikuje jeszcze fakt, że każda akcja społeczna rodzi przeciwną reakcję i dochodzi do walki. Nieraz bardzo szla-

Jeśli daleki horyzont rozwoju jest zamglony i ciemny, to jak można prawidłowo, bezbłędnie kierować procesem społeczno-historycznym? Na podstawie osobistych doświadczeń Jan Szczepański powiada:

„Żyłem dostatecznie długo i zbyt wiele widziałem, by żywić złudzenia co do możliwości planowania życia zbiorowego oraz kierowania jego przebiegiem”.

Przytoczone wyżej argumenty dostatecznie chyba wskazują, że świadome kształtowanie rozwoju społecznego jest w zasadzie niemożliwe. Komuniści porwali się więc z motyką na słońce. Muszą zrozumieć, że tylko w małej skali społecznej i czasowej można osiągać pożądane rezultaty. Nie da się natomiast urzeczywistnić wydumanej utopii.

CZEGO CHCELI KLASICY?

W czasach stalinowskich zapomniano, że Karol Marks i Fryderyk Engels niechętnie wypowiadali się na temat ostatecznego kształtu formacji komu-

ponując przekształcenie PZPR w Polski Ruch Socjalistyczny, nową partię, która nawiązywałaby do PPR i PPS oraz „większości” KPP. Nie sądzę jednak, że skompromitowało się w ogóle dążenie do komunizmu jako ustroju sprawiedliwości społecznej. Komunizm jest utraconym rajem ludzkości oraz odwieczną nadzieją i tęsknotą Marzyle o nim miliony ludzi dobrych i uciśnionych.

KOMUNIZM A CHRZEŚCIJAŃSTWO

Nie można dziś zapominać, że komunizm jest wymysłem pobożnych chrześcijan. Pisałem już o tym kiedyś na łamach „Odgłosów”. Tym razem powołam się na autorytet księdza prof. Mieczysława Żywczyńskiego. W książce „Kościół i społeczeństwo pierwszych wieków” czytamy:

„W gruncie rzeczy wszystkie najbardziej radykalne doktryny społeczne wyrosły tylko w obrębie chrześcijaństwa. Komunizm pojawił się przecież jako doktryna także na tle chrześ-

Z tej ziemi.

Nikt nie narusza prawa w samotności

Kilku Czytelników zazwodziło do redakcji z pytaniem, czy będziemy pisać o sprawie byłego i sekretarza KD PZPR brodnickiego — Stanisława Zaręby. Wspominałem już o tej sprawie nie wymieniając nazwiska „głównego donatora”. Czynniki to teraz. Zastanawiam się jednak, czy sprawa zasługuje na osobną publikację. Stanisław Zaręba stanął przed Łódzką Komisją Rewizyjną — kontrolną, otrzymał wysoką karę partyjną i ma zakaz sprawowania funkcji kierowniczych przez 6 lat. Coż tu więcej można dodać? Ze był i sekretarzem instancji partyjnej. W tym cały „smaczek”.

Nauzycie władzy dla celów prywatnych zdarza się nie tylko i sekretarzom komitetów dzielnicowych partii, zaraża się innym ludziom państwowym różne urzędy i zaraża się nie tylko w Łodzi, w Polsce i w krajach socjalistycznych, to jedna strona zagażenia. Można powiedzieć — luzacka. Wynikająca z ulomności natury ludzkiej.

Druga strona tego zagadnienia polega na tym, że właśnie w kraju socjalistycznym, głoszącym naszą sprawiedliwość społeczną, że w Polsce ciągle trawione kryzysem, że w partii mieniącej się robotniczą i nawiązującej do szczytnych hasel socjalizmu, komunizmu, równości i sprawiedliwości społecznej coś takiego nie powinno w ogóle się zdarzać. A w Łodzi zaraża się już drugiemu z kolei sekretarzowi komitetu dzielnicowego. Myślę tu o byłym i sekretarzu KD PZPR Polesie — Tadeuszu Szewcu. I to już powinno zastanawiać!

Ułomnościami natury ludzkiej wszystkiego się nie wytłumaczy. Trzeba zatem zastanowić się, jakie działają mechanizmy, które pozwalają ludziom zapomnieć o tym, skąd się wywodzi, kim są, jaka ciąży na nich odpowiedzialność? Co czyni ich wyjętymi spod społecznej kontroli? I czy ta kontrola w ogóle działa skutecznie?

Jak powszechnie wiadomo mamy nadmiar różnych kontrolujących instytucji i organizacji, co już jest pierwszym i poważnym sygnałem ich nieskuteczności. Powołanie hasel socjalizmu, społecznej kontroli było sygnałem, że w ogóle z kontrolą w Polsce dzieje się coś niedobrego. Organizacja ta zmiera śmiercią naturalną, gdyż był to w ogóle piód poroniony i już zarażony chorobą nieskuteczności w chwili narodzin. „IRCH” też nie spełnia oczekiwanego roli, nie jest bowiem miotłą wymiatającą wszelkie zło, bo taką miotłą być nie może. Ze złem trzeba walczyć u jego podstaw, czyli źródła, a nie niwelować skutki, bo to nigdy niczego dobrego nie przyniesie.

Naraziłem się niedawno kilku osobom, usiłowałem bowiem dowodzić, że partia — jeśli chce się zreformować — musi przede wszystkim przebudować swoją strukturę. Struktura ta nie spełnia już roli inspirującej. A powinna właśnie pobudzać do działania przede wszystkim podstawowe organizacje partyjne. Od sprawności, szybkości i samodzielności działania tych organizacji zależy ich skuteczność ich funkcji kontrolnych. Członkowie partii powinni czuć i wiedzieć, że nie zastąpi ich żadna instancja.

Moji oponenci utrzymywali, że postulat przebudowy struktur organizacyjnych partii jest działaniem pozornym. Istota działania powinna polegać na programowaniu. A programy mamy dobre, tylko ludzie nieudolnych, którzy nie potrafili realizować tych wspaniałych programów. Zapomniałem wtedy powiedzieć, że — jak to wynika z filozofii marksistowskiej — najwyższym sprawdzianem programu jest... praktyka. Jeśli program jest dobry, a praktyka zła, to jednak oznacza, że program jest oderwany od życia.

Obeona struktura organizacyjna partii powstała w określonym czasie i celu i spełniła swoje zadanie. Dziś jest już hamulcem. Opiera się na dogmacie nieomyślności stanowisk, nie ludzi i na hierarchii wspartej przywilejami. Racje i przywileje przywiązane są do funkcji, jaką pełni człowiek, nie zależą od jego rzeczywistych wartości intelektualnych i moralnych. Powstał cały system hierarchii i przywilejów. I nie tylko u nas.

W ZSRB Boris Jelcin się nie ukłonił wianym przywódcą opozycji. Ostatnio „Komsomolska Prawda” zadawa mu szereg pytań, jakie do redakcji nadeszły czytelnicy. Jedno z pytań dotyczyło właśnie przywilejów. Boris Jelcin powiedział:

„Zawsze występowałem i będę występował nadal za całkowitym zlikwidowaniem „specjalnych przydziałów” (...). Po prostu dlatego, że stwarzają one system pozawołowego uprzywilejowania: po pierwsze — ma się wyższe uposażenie, a po drugie — możliwość nabywania większej ilości dóbr. Czyż nie jest to nonsens ekonomiczny? Dobra materialne powinny być jednakowo dostępne dla wszystkich, a mówiąc inaczej — ruś w ręku ministra nie powinien różnić się od ruś w ręku sprzątaczkę”.

Minister przemysłu Mieczysław Włoczek na ostatniej konferencji prasowej nie potrafił powiedzieć, ile kosztuje litr benzyny, bo go „teraz wożą”. Oczywiście szybkość poruszania się jest dla ministra rzeczą ważną, ale nie może to powodować oderwania się od życia. A — jak widzimy — powoduje.

Jak skonstruować skuteczną kontrolę społeczną, aby w każdej sytuacji mógł się zapalić sygnał ostrzegawczy: Uwaga! Niebezpieczeństwo! Schodzimy z prostej drogi. Krytyka, samokrytyka i inne do tej pory stosowane instrumenty utraciły swoją skuteczność. Krytyka nikt się nie przejmie, od samokrytyki odeszliśmy. Kontrolę nie przynosiła oczekiwanego skutku. Zresztą aparat biurokratyczny przystosował się do nich w taki sposób, że produkuje specjalnie dla organów kontrolnych dokumenty i sprawozdania. Biurokracja umie bronić się nad wyraz skutecznie. Ona też opiera się na hierarchii i przywilejach. Ostatnio ludzie sprawujący władzę najbardziej boją się... opozycji.

Kiedy jednak mówię, że warto byłoby zastanowić się nad sposobem stworzenia opozycji w partii, która jednak nie prowadziłaby do jej rozbitcia, to moi rozmówcy udają nagłe ogłuchych. Dyskusję o opozycyjności uważa się za niebezpieczną. Samo słowo: opozycja — niesie z sobą grozę i przerażenie. Jeśli jednak uznać, że opozycyjność — to po prostu brak aprobaty dla proponowanych rozwiązań i poszukiwanie innych, konkurencyjnych, a zmierzających do takiego lub podobnego celu, to w końcu żadna to herezja. Węgrzy uznali na przykład, że możliwe jest istnienie kilku partii politycznych. W tezach na X Plenum KC PZPR mówi się również, że „model ruchu robotniczego w warunkach socjalizmu nie jest ostatecznie zamknięty”. Czy dwie partie robotnicze, albo i trzy mogłyby skutecznie wzajemnie kontrolować się? To pokazywałaby praktyka, gdyby taka sytuacja zaistniała. Tradycja wszakże nie jest pociągająca, bowiem w warunkach stalinizmu wielu ludzi zarażało przekonaniem — błędnym przecież — że tylko komuniści mają rację, a socjaliści czy socjaldemokraci są zdradźcami i socjalistami. To przekonanie lansowane mimo hasła: Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

Nikt nie narusza prawa w samotności. Ktoś coś komuś nakazuje, ktoś ten nakaz wykonuje, uznaje rację zwierzchnika, choć zwierzchnik nie ma racji. Nikt nie protestuje. Co najwyższe pisze donos. To też charakterystyczne. Mieczysław F. Rakowski zapowiedział, że rząd nie będzie się interesował anonimami. Najwyższy czas. Heł to bowiem razys słyszałem z przekonaniem wyrażany pogląd, że może anonim są ohydne, ale zawierają wiele prawdy o naszym życiu i ponieważ ludzie boją się pod tym podpisać, dlatego trzeba je rozpatrywać. Nie byłam i nie jestem o tym przekonany. Czas skonstruować taki system, aby ludzie się nie bali krytykować, pisać skargi, mówić prawdę, walczyć o prawdę. Czas najwyższy, bo czasu w ogóle jest mało.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Czy można zbudować socjalizm?

torzy radziecki W. Kłuczewski doszedł do wniosku, że dyktator ten zalał tylko bieżące sprawy i nie dostrzegał nawet, że zmienia wszystko wokół siebie. Nowy kształt społeczeństwa nie był od początku celem działania Caru świadomym, go sobie dopiero pod koniec panowania.

PODMIOT CZY MARIONETKA?

O człowieku współczesnym mówimy, że działa rozumnie. W świetle psychologii nie jest to jednak takie oczywiste. Behawiorysty utrzymują, że świadomość minimalnie wpływa na zachowanie ludzi, a decydująco środowisko społeczno-kulturowe. Ludzie po prostu reagują na bodźce, unikają kar i pragną być nagradzani. Natomiast w momencie urodzin stanowią „nie zapisane karty”. O ich obliczu decyduje proces socjalizacji i wychowania.

Mały udział świadomości stwierdzają też psychoanalizyści. Ale odrzucając pogląd, że nowo narodzony człowiek jest „tabula rasa”. Przechodząc na świat ma wrodzone struktury podświadomości, które sterują jego zachowaniem. Carl Gustav Jung podkreślał, że zasadniczą strukturą psychiki ludzkiej są gatunkowe schematy (archetypy) niezależne od naszej woli. To nie intelekt decyduje o kształcie poglądów, lecz instancja pozaświadoma.

Podobną koncepcję głoszą na gruncie etnologii i socjologii strukturaliści. Twierdzą mianowicie, że za różnymi obyczajami ludów kryją się jednolite wzory. Myśleniem i działaniem człowieka rządzą bezosobowe siły, nieświadomione struktury umysłu. Analiza mitów wykazuje, że to nie myśli myślnie, lecz raczej mity „myślą się w nas”. W rzeczywistości podmiotowość nasza jest iluzją.

Najwięcej szans człowiekowi daje orientacja poznawcza w psychologii. Według niej działamy zgodnie z posiadanym obrazem świata, w zależności od wykształcenia, zasobu informacji, systemu wartości. Podejmujemy decyzje na podstawie subiektywnych poglądów. Po swojemu interpretujemy obiektywne stany rzeczy i tak postępujemy.

Nie mam zamiaru rozstrzygać, która z tych koncepcji jest słuszna. Jedno jest oczywiste, że ludzie dość rzadko zachowują się racjonalnie i logicznie. Jan Szczepański pisze:

„Postępowania ludzi nie tłumaczy prawa logiki, lecz psychologia społeczna, gdyż w życiu społecznym, w oddziaływaniu na bliźnich i reakcjach na ich zachowanie ludzie rzadko kierują się logiką”.

Już na początku XVI wieku Erasmus z Rotterdamu napisał „Pochwałę głupoty”. W tym

chętne dążenia przynoszą katastrofalne skutki. W mądrym wierszu pt. „Odys” Leopold Staff pociesza:

Niech cię nie niepokoją
Cierpienia twe i biedy.
Wszędzie są drogi proste,
Lecz i manowce wszędzie.
O to chodzi jedynie,
By naprzód wciąż iść śmiało.
Bo zawsze się dochodzi
Gdzie indziej, niż się chciało.

Gdyby nasza historia faktycznie była utkana tylko z podmiotowych działań, to przecież całość jest procesem bezpodmiotowym. Nici byłoby planowe, lecz split bezplanowy. Autor zachodniemiecki Norbert Elias trafnie wskazuje, że historia nie wynika z świadomego działania jednostek, ani z ponadindywidualnego ducha, ani z natury, lecz jest swoistą rzeczywistością złożoną z tych trzech wymiarów. Pisze on następująco:

„Cele, plany i działania poszczególnych ludzi splatają się nieustannie z celami, planami i działaniami innych. Wszakże samo to splatanie się działań i planów wielu ludzi, ciągnące się nieprzerwanie z pokolenia na pokolenie, nie jest niczym z góry zaplanowanym”.

Historia Polski Ludowej pokazuje jak planowanie wyrażało się w chaos. Przypomina się tu jedną z tez Friedricha Dürrenmatta w związku z „Fizykami”: „Im bardziej planowo ludzie działają, tym skuteczniej uderza w nich przypadek”. Na uwagę zasługuje również paradoks sformułowany przez Fryderyka Nietzschego: „Im silniej pragniemy czegoś określonego, tym skuteczniej osiągamy co innego właśnie”.

WIECZNA ZAGADKA PRZYSZŁOŚCI

Budowniczo socjalizmu zakładali, że można przewidzieć rozwój społeczny. Nie uwzględniali przy tym prostego faktu, że rozwój odbywa się skokowo, drogą zmian jakościowych. Przewidzieć i zaplanować można tylko ilościowy wzrost i to na krótki dystans czasu.

Przesłanki wszelkiej ekstrapolacji na gruncie historii są niewystarczające. Nie mamy bowiem pełnej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości, a futurologia nie jest nauką, gdyż nie ma przedmiotu badania. Nie jesteśmy w stanie określić wypadkowej jednostkowych i grupowych wektorów działań ludzkich. Nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek znalazłono odpowiednie sposoby kwantyfikacji elementów składowych procesu dziejowego.

Historia pozostanie więc nieprzewidywalna. Przyszłego kształtu społeczeństw nie da się nigdy przewidzieć. Można jedynie odgadnąć niektóre szczegóły, wynalazki, instytucje, lecz nie całościową strukturę.

nistycznej. Wynikało to z przekonania, że rozważania wybiegające daleko w przyszłość mają charakter utopijny i nienaukowy. Już w 1846 roku Marks zwierzał się w liście do Fawla Annenkowa, że naraził się wielu ludziom „dramatami z ciętego, senymentalnego, utopijnego socjalizmu” (MED 21, 336). W 1873 roku podsunął pisal Engels: „Przemysłowanie nad tym, jak przyszłe społeczeństwo regulować będzie podziału żywności i mieszkań, prowadzi prosto do utopii” (MED 18, 318).

Na antyutopijny charakter myśli Marksowskiej zwrócił uwagę Włodzimierz Lenin. Na kroku przed rewolucją październikową z satysfakcją odnotował: „U Marksa nie znajdujemy ani śladu próby konstruowania utopii, pustego odgadnięcia tego, czego wiedzieć nie można” (LD 25, 493).

Unikając przedstawiania obrazu przyszłej formacji, klasycy marksizmu starali się opisać warunki, w jakich dojdzie do rewolucji. Podstawowe znaczenie przywiązywali do zniesienia własności prywatnej. Uważali oni, że społecznie środki produkcji można będzie dopiero wtedy, gdy pojawi się taka potrzeba ekonomiczna i zaistnieje odpowiednie możliwości techniczno-organizacyjne. Socjalizm miał powstać w społeczeństwach, które osiągnęły bardzo wysoki poziom rozwoju. W lipcu 1853 roku Marks pisał:

„Burżuazyjny etap dziejów ma stworzyć ową materialną bazę nowego świata; ma z jednej strony zrodzić światową wymianę, opartą na współzależności wszystkich ludów, i stworzyć środki tej wymiany; z drugiej zaś strony — sprzątać ma wzrostowi sił wytwórczych człowieka oraz przekształcić go w produkcję materialną w oparciu na bazie nauki władanie siłami przyrody” (MED 9, 252).

Marks był przekonany, że żadne społeczeństwo nie może przeskoczyć „naturalnych faz swego rozwoju” (MED 23, 8). W życiu społecznym da się realizować tylko to, co już dojrzało do urzeczywistnienia. Nawet samo zadanie (cel działania) wynikało się wówczas, kiedy „materialne warunki rozwiązania go już istnieją lub co najmniej znajdują się w procesie stania się” (MED 13, 10). Przemoc może spełniać w rozwoju tylko funkcję akuszerki.

Przywódcy bolszewików znali dobrze teorię Karola Marksa. Nie byli jednak wolni do ciężkiej choroby wszystkich rewolucjonistów, którą jest niecierpliwość. Wydawało im się, że szybko przeskoczą z feudalizmu do socjalizmu. Fanatyczna wiara w to sprawiła, że bez wahania sięgnęli po środki terroru i przemocy.

Moim zdaniem, zbrodnie stalinowskie utrudniły rozwój nurtu komunistycznego w ruchu robotniczym. Dlatego pro-

ciństwa. I w pewnym sensie, chociaż się tego wszystkie oficjalne Kościoły i wyznania wypierają, to jednak w prostej linii wywodzi się on właśnie z chrześcijaństwa”. (Warszawa 1985, s. 42).

Historycy wiedzą, że pierwsze gminy komunistyczne założyli apostołowie Jezusa z Nazaretu; prekursorami nowożytnych utopii komunistycznych jest święty Tomasz Morus (1478—1535); a państwo komunistyczne utworzyli w Ameryce Południowej (1610—1768) ojcowie jezuitów przystała lat przed bolszewikami. We wszystkich tych przedsięwzięciach chodziło o ustroj sprawiedliwości i równości, bez własności prywatnej i pieniądza, z podziałem dóbr według potrzeb.

Święty Tomasz Morus (kanonizowany w 1935 roku) jest męczennikiem chrześcijaństwa i komunizmu. W książeczce o „najlepszym ustroju i nieznanym dotąd wyspie Utopii” pisał między innymi:

„Nie widać tam ani biednych, ani żebraków i choć nikt nie nazwał niczego swoją własnością, każdy jest bogaty. Czy jest bowiem jakieś miłsze bogactwo niż to, które pozwala nam żyć wesoło i spokojnie bez żadnych trosk? Ktoż nie pragnie takich warunków życia, aby nie potrzebował niepokoić się o swe utrzymanie, słuchać aż do znużenia ustawicznych narzekań i próśb żony, obawiać się ubóstwa dla syna, kłopotać się o posag dla córki — lecz aby był spokojny o utrzymanie i pomyślność swoją i wszystkich swoich, żony, dzieci, wnuków, prawuków i najdalszych potomków, których długi szereg widzą w swej wyobraźni ojcowie szlachetnego rodu? Takie warunki życia zapewnią Utopii państwo zarówno inwalidom, jak i zdolnym do pracy”.

Nazwa szczęśliwej wyspy komunizmu po grecku oznacza „miejsce, którego nie ma”. W innym miejscu, jak dotąd, nie udało się stworzyć raj na ziemi. Szlachetne zamiary przyniosły odwrotne skutki. Nowe pokolenia rewolucjonistów i reformatorów muszą wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Przede wszystkim, że nie wolno się spieszyć i lekceważyć złożoności procesu historycznego. Nawet najśliszja władza nie może zastępować Pana Boga, bo potem okazuje się, że wyręczała Diabła.

EDMUND LEWANDOWSKI

N

a początku 1943 r. silne napięcia w stosunkach polsko-radzieckich sięgnęły niemal zenitu i groziły nieobliczalnymi skutkami. W styczniu 1943 roku rząd radziecki cofnął uprawnienia, jakie dotychczas przysługiwały ludności polskiej w związku z realizacją radzieckich ustaw o obywatelstwie. Negatywne skutki niosło ze sobą nierozstrzygnięcie problemu wschodniej granicy polskiej. Terytorialne status quo II Rzeczypospolitej sprzed 17 września 1939 r. było już dla strony radzieckiej nie do przyjęcia. Odchodzący w ten sposób jednoznacznie od formuły granicy przewidzianej Traktatem Ryskim z 1921 r. Władze w Moskwie powoływały się na akty konstytucyjne z 1 i 2 listopada 1939 r. — o zjednoczeniu zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi z odpowiednimi republikami radzieckimi, motywując to wolą ludności wyrażoną w wyborach przeprowadzonych w październiku 1939 r. po wkroczeniu wojsk radzieckich na te obszary.

W marcu i w pierwszych dniach kwietnia 1943 roku dyplomatyczne kontakty tak się zastrzyły, że właściwie w każdej chwili groziły zerwaniem. Gen. Władysław Sikorski starał się o ich ocieplenie, usiłował też hamować anty-radzieckie wystąpienia polskich polityków z Londynu i to tych z własnego otoczenia, ale jego poczynania były bezskuteczne, a poza tym pozostawał w nich osamotniony. Nie pomagały również naciski Winstona Churchilla, choć były coraz bardziej stanowcze. 12 kwietnia 1943 roku sternik polityki brytyjskiej w obecności gen. Władysława Sikorskiego opowiedział się za przeprowadzeniem w stosownym momencie rewizji wschodniej granicy Polski na korzyść roszczeń radzieckich, przy uwzględnieniu odpowiedniej rekompensaty na zachodzie. Nietrudno się było zorientować, że stanowiło to poniekąd ostrzeżenie dla Polaków, by jak najszybciej zmienili swoje stanowisko w konflikcie dyplomatycznym z radzieckim partnerem. Odbiło się ono jednak jak groch od ściany. Zaszły bowiem nowe okoliczności, które ostatecznie rozwarły przepaść między Kremla a polskim rządem emigracyjnym, korzystającym z gościnności w Londynie.

13 kwietnia 1943 roku — komunikat radia berlińskiego

13 kwietnia 1943 r. radio berlińskie nadało komunikat informujący o odkryciu zbiorowej mogiły (28 na 16 m) ze zwłokami 3 tys. polskich oficerów w Kosogórach (Kozie Góry) w lesie katyńskim. Wśród zidentyfikowanych znajdowały się zwłoki gen. bryg. Mieczysława Smorawskiego (ur. w 1893 r. w Kaliszu) byłego dowódcy z Kowla, internowanego przez Armię Czerwoną i osadzonego w Kozieleku na Smoleńszczyźnie. Wkrótce zostaną również zidentyfikowane zwłoki innego generała, przetrzymanego w Kozieleku — Bronisława Bohaterowicza. Hitlerowcy szacowali, że w mogiłach katyńskich spoczywa ponad 10 tys. polskich oficerów i inteligentów, rozstrzelanych rzekomo przez organa wykonawcze NKWD wiosną 1940 r.

Gwoli ścisłości dodajmy, że do 7 czerwca 1943 r. niemieckie służby przy udziale różnego rodzaju „neutralnych” obserwatorów zidentyfikowały w lesie katyńskim 4143 zwłoki, w tym m.in. 2 generałów, 12 pułkowników, 50 podpułkowników, 165 majorów, 440 kapitanów, 542 poruczników, 146 lekarzy wojskowych, 10 weterynarzy, 221 osób cywilnych. Ich wykaz wraz z podpisem medycznym zwłok zostanie ogłoszony w wydawnictwie „Amtliches Material zum Massenmord von Katyn”.

Rozgorączkowany Joseph Goebbels zanotował w dzienniku:

„Postarałem się o to, aby pokazano te masowe groby dziennikarzom neutralnym przebywającym w Berlinie oraz polskim inteligentom. Powinni oni zobaczyć na własne oczy, jak wygląda ich los, gdyby spełnili się ich marzenia o zwycięstwie bolszewików nad Niemcami...”

Cztery dni później dodał do tego:

„Führer upoważnił nas do dawania dramatycznych sprawozdań (z Katynia) w prasie niemieckiej. Otrzymałem polecenie, aby ten materiał został maksymalnie wykorzystany dla celów propagandowych. Bedziemy o tym pisać bez przerwy przez 2 lub 3 tygodnie...”

Po miesiącu stwierdził zaś chęliwie:

„Sprawa katyńska uważała na Führerze silne wrażenie. Sprawa ta nie dotyczy Wehrmachtu. Oddziaływanie psychologiczne należy wyłączać do zadań ministerstwa propagandy...”

Sensacja katyńska w obliczu rozmaitych napięć międzynarodowych, a zwłaszcza wzajemnych pomówień i narastającej nieufności w stosunkach polsko-radzieckich wywołała istną burzę dyplomatyczną. Rozpoczęła się kanonada not i oświadczeń o różnych ciężarach państwowych. Mów tu na myśl zabarwienie polityczne i emocjonalne. Gwoli ścisłości oddadmy atmosferę tych trudnych dla polskiej racji stanu chwil zrelacjonujemy pokrótce te fakty.

Reakcje strony radzieckiej i polskiej

Po dwóch dniach, na oskarżenie Berlina, odpowiedziała Moskwa. W komunikacie z 15 kwietnia 1943 roku z oburzeniem ripostowano niemieckie argumenty o radzieckiej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską i podkreślono natychmiast, że „oficerowie polscy upadli w ręce niemieckie w okolicy Smoleńska w lecie 1941 r. i mord na nich dokonała wojska niemieckie”. Dodajmy tu, iż w oficjalnym komunikacie specjalnej komisji pod przewodnictwem akademika N. Budrenki władze radzieckie oskarża o mord katyński niemiecki urząd wojenny, ukrywający się pod umowną nazwą: „Sztab 537 batalionu roboczego”, na czele którego stał oberstleutnant Arnes i jego współpracownicy — oberstleutnant Reks i leutnant Hott. Według takiej — radzieckiej — wersji sprawa katyńska trafiała do Norymbergi.

15 kwietnia 1943 r. przebywający we Włoszech gen. Władysław Anders, który jeszcze 18 marca 1942 r. podczas bytności u Józefa Stalina domagał się jak najrychlejszego wyjaśnienia losów 4518 osób, które przepadły bez wieści w głąb ZSRR, zażądał poddając się nerwowości chwili, stanowczej reakcji rządu RP w Londynie. Stał za nim autorytet wojska, a zyskał tak-

że przychylności ministra Mariana Kukieła, który w Londynie, trzymając rękę na pulsie wydarzeń, parł do natychmiastowych rozstrzygnięć. Z jego też inicjatywy poprzez przebywającego w Szwajcarii ks. S. Radziwiłła zwrócono się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z wnioskiem, aby ta organizacja skierowała do Katynia delegację (neutralną) dla zbadania stanu spraw na miejscu zbrodni. 16 kwietnia 1943 roku z identyczną ofertą wystąpił Niemiecki Czerwony Krzyż.

Atmosfera wokół sprawy Katynia zaczęła się coraz bardziej zageszczać. 17 kwietnia 1943 r. Rząd RP wystąpił z obszernym oficjalnym oświadczeniem:

„(...) Nie ma Polaka, który by nie był wstrząśnięty do głębi wiadomością, szerzoną przez propagandę niemiecką z największym rozgłosem o odkryciu pod Smoleńskiem w grobie wspólnym, zmasakrowanych zwłok zaginionych w ZSRR oficerów polskich i o kaźni, której padli ofiarą (...) Zarazem jednak rząd Polski, w imieniu Narodu Polskiego, zaprzecza Niemcom prawa do czerpania ze zbrodni, które zarzuca innym — argumentów w obronę własnej. Pełne hipokryzji oburzenie propagandy niemieckiej nie zakryje przed światem okrutnych ponawianych i trwających wciąż zbrodni dokonanych na Narodzie Polskim”.

Dopiero po tym oświadczeniu, a dokładnie 20 kwietnia 1943 r. rząd polski skierował notę do władz radzieckich domagając się wyjaśnień w sprawie losu zaginionych internowanych ofi-

Wiosną 1943 roku zawrzało nie tylko w świecie dyplomacji.

Jak Niemcy rozgrywali sprawę katyńską

Część I

JACEK WILAMOWSKI

cerów polskich. Był to kolejny etap polskich starań w tej sprawie, biorąc pod uwagę toczące się de facto od lipca 1941 r. polsko-radzieckie negocjacje na temat zwolnienia oficerów polskich z miejsc internowania bądź uwięzienia.

Kwestia ta była przedmiotem stałego zainteresowania tzw. grupy rtm. J. Czapskiego, sześciokrotnie indagował o nią ambasador St. Kot w rozmowach w Narkomindziele z Andriejem Wyszyńskim, przekładając spisy ludzi zaginionych bez wieści w ZSRR. Co najmniej trzy razy w sedno tej sprawy byli wprowadzeni Józef Stalin i Władysław Mołotow. Raz w bezpośrednich rozmowach przez gen. Władysława Andersa. Zadano też ponad 500 indywidualnych pytań, co do losu żołnierzy przekazanych przez Polski Czerwony Krzyż do władz radzieckich. Nie otrzymało na nie odpowiedzi.

21 kwietnia 1943 roku Józef Stalin wysłał jednoraznie pisma do premiera Winstona Churchilla i prezydenta Franklina Roosevelta. Ich ton zawierał nieprzejednanie stanowisko względem poczynania rządu polskiego, który jakkolwiek tonął w nieprzemyślanej, nazbyt nerwowych i fatalnych decyzjach względem sprawy katyńskiej, to przecież wykonywał swoje suwerenne prawa, bynajmniej nie uwiacając je jego pozycji międzynarodowej.

„Do śledztwa (w sprawie Katynia) przyciągnięty został zarówno przez rząd Sikorskiego, jak i rząd hitlerowski, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, który w warunkach terrorystycznego reżimu, z jego szubienicami i masowym łepieniem ludności, zmuszony jest do uczestniczenia w tej komedii śledczej, której reżyserem jest Hitler” — pisał do sojuszników Józef Stalin i zaraz dalej oskarżył Władysława Sikorskiego o znowu z Niemcami. Nie zabrakło też zapowiedzi zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem gen. Władysława Sikorskiego.

Ami Winston Churchill ani Franklin Roosevelt nie dali wiary oskarżeniom Józefa Stalina i usilowali zmienić jego zamiary, jednakże całkowicie bez skutku. Wydarzyło się zatem to, co było nieuchronne. Kropka nad „i” została postawiona w nocy z 25 na 26 kwietnia 1943 roku. A stawił ją Władysław Mołotow, odczytując ambasadorowi RP, Tadeuszowi Romerowi tekst radzieckiej noty. Podkreślono w niej, że rząd polski prowadził wrogą kampanię wobec ZSRR i „aby przypodobać się tyranii Hitlera zadaje zdradziecki cios Związkowi Radzieckiemu”. Stwierdzono również, że zachowanie się rządu polskiego w stosunku do ZSRR jest zupełnie nienormalne i gwałtowane wszelkie przepisy czy zwyczaje między dwoma państwami sprzymierzonymi. Władysław Mołotow nie omieszczał też zaznaczyć, że wroga kampania wobec ZSRR została przedsięwzięta przez rząd polski, żeby wyrzucić nacisk, przy użyciu hitlerowskiego oszczerczego fałszu, w celu wydarcia zachodnich ziem ukraińskich i białoruskich, kosztem interesów radzieckiej Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Ambasador Tadeusz Romer odmówił przyjęcia radzieckiej noty ze względu na zawarte w niej oszczerze pomówienia o współpracy rządu polskiego z Niemcami, ale miało to jedynie charakter demonstracji, bowiem zaistniałych faktów nie sposób było już zmienić.

Niemcy organizowali „wycieczki” do Katynia.

W tym samym czasie w Katyniu trwał zaaranżowany przez Niemców spektakl nieustających „wycieczek” do mogił katyńskich zaproszonych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, obserwatorów zagranicznych z państw okupowanych przez III Rzeszę, bądź z nią kolaborujących „reprezentantów niezależnej międzynarodowej opinii publicznej”. Szczególną wagę przywiązywano do prac specjalnej komisji medycznej, której eksperci mieli dostarczyć ultima ratio dla oskarżenia NKWD o dokonanie zbrodni w 1940 r.

Ujawienie grobów katyńskich stwarzało dla najwyższych czynników w Berlinie możli-

wość ponownego wysunięcia wobec społeczeństwa polskiego hasła kolaboracji na płaszczyźnie antykomunistycznej. Do akcji włączył się nawet Heinrich Himmler, który zaproponował zaproszenie do Katynia gen. Władysława Sikorskiego z wystawieniem mu „listu żelaznego”. Oferta ta ze względów zasadniczych spotkała się ze sprzeciwem Joachima von Ribbentropa.

Ciężar całej propagandy nazistowskiej w GG został z miejsca przeniesiony na dalsze wzmożenie ataków antyżydowskich i antybolszewickich. Komendant Główny Armii Krajowej gen. Stefan Rowecki, który posiadał informacje na temat mogił katyńskich od dr Mariana Wodzińskiego, członka Komisji Technicznej PCK, w jednej z ostatnich swoich depesz do Londynu przed aresztowaniem, datowanej 5 maja 1943 r., donosił:

„Rozwój wypadków wojennych skłania administrację Generalnej Guberni z poparciem kół wojskowych do szukania takiego ułożenia stosunków, by dalsza eksploatacja i pewne minimum bezpieczeństwa, nie wymagały wzmoczonego terroru, dla którego nie ma dostatecznych sił policji i brak przekonania o jego skuteczności, zwłaszcza wobec narastającego czynnego oporu polskiego, Frank stwierdził w Berlinie na początku marca, że nie znajdzie w Generalnej Guberni Polaka, by podjął się współpracy z Niemcami nawet w warunkach protektoratu. Czy próby szkania były — trudno stwierdzić, potwierdza też wśród Niemców nazwiska Walerego Goetla, Ronikiera, Alfreda Potockiego,

wa, następnie publikuje. Wysłał się członków rodzin do Katynia. W prasie dużo materiałów, dowody polityczne idą w kierunku antybolszewickim, antyżydowskim, antyangielskim i antyemigracyjnym. Depesze w prasie fingowane w całości lub częściowo (...). W oflagach rozpoczęto propagandę antybolszewicką przez wyświetlanie filmu z Katynia i agitację za utworzeniem polskich oddziałów do walki z Sowietami”.

Rezultaty tych poczynąń nie pokrywały się jednak z oczekiwaniami strony niemieckiej. „Społeczeństwo polskie — pisał na ten temat prof. Czesław Madajczyk — na co dzień dokonujące konfrontacji przekazywanych mu informacji okupanta z rzeczywistością panującą w GG, niestabnym terrorem, z ludobójstwem, nie dalo się ponieść odruchowi, nie położyło po linii propagandy hitlerowskiej, na którą mimo woli mogła skierować je reakcja władz polskich na uchodźstwie. W tym zerwanie radziecko-polskich stosunków dyplomatycznych. Wpływ na to mieć mogło milczenie Londynu w tej sprawie. Uniknięto następstw, które w perspektywie mogłyby doprowadzić Polskę do sytuacji bez wyjścia”.

Polacy nie skorzystali z oferty

A więc — zaznaczmy to jeszcze raz — hitlerowcom mimo wytyżonej propagandy, nie udało się jednak dokonać na tie sprawy katyńskiej wylomu w postawie społeczeństwa polskiego. Wskazuje na to z naciskiem gen. Stefan Rowecki w depeszy do Naczelnego Wodza, opatrzonej datą 18 maja 1943 r. Czytamy w niej:

„(...) społeczeństwo zdaje sobie sprawę doskonale, że akcja uszczęta przez Niemców ma służyć wyłącznie ich własnym, a nam wrogim celom, propagandzie dla zamaskowania już popełnionej i jeszcze zamierzonych zbrodni — aktualny przykład — likwidacja getta w Warszawie”.

Opinie gen. Stefana Roweckiego wspiera w całej rozciągłości sprawozdanie Delegatury rządu emigracyjnego z obszaru Kielecczyzny:

„(...) propaganda hitlerowska stwierdza konieczność pozyskania dla sprawy Niemiec bodaj części społeczeństwa polskiego i wystrzeliła — wydaje się — najgrubszy pocisk Katyni. Temu przypisać należy raptowne zaprzestanie na początku okresu sprawozdawczego ogólnie stosowanych łapanek w miastach i osiedlach miejskich oraz na szlakach komunikacyjnych, tolerowanie szmuglu i nielegalnego handlu itp. Administracja od góry poczęła zalecać „łagodny kurs” do Polaków, obliczając na werbunek do Legionu Wschodniego czy też innego SS-Galizien, na spotęgowanie nienawiści społeczeństwa polskiego do ZSRR i w konsekwencji — na wrogi stosunek do bolszewickich band dywersyjnych, grasujących wewnątrz kraju i coraz bardziej depczących po piętach okupanta. Społeczeństwo nasze niewątpliwie ciężko przeżyło ujawnienie zbrodni katyńskiej, ale zarazem barażo szybko zorientowało się w celach rozmuchania i potęgowania tej afery przez okupanta”.

Kreischaupman z Jędrzejowa pisał w tym samym czasie:

„Fala propagandy oparta o Katyni napotyka ze strony ludności polskiej nie tylko na silne przeciwdziałanie, ale i na silną kontrapropagandę, która zajmuje się niemieckimi obozami koncentracyjnymi, szczególnie zaś obozem w Oświęcimiu. Płynąca obecnie fala propagandy antybolszewickiej i antyradzieckiej nie znajduje prawie żadnego oddźwięku u ludu polskiego, który bardziej interesuje się działalnością polskich band. W wielu miejscach stwierdzono zerwanie plakatów tej akcji”.

Hasła współpracy z okupantem na płaszczyźnie antyradzieckiej nie cieszyły się zatem ani poparciem, ani też szacunkiem społeczeństwa polskiego. Towarzyszyły im głosy potępienia. Wszelkie przejawy myślenia o kolaboracji politycznej z hitleryzmem były ustawione pod pręgierzem zdrady narodowej. Była Polska pod tym względem ewenementem w skali europejskiej, co chlubnie podkreśla rodzima historiografia.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Tadeusza A. i Mirosława P. nie nie łączy. Nigdy nie widzieli się na oczy. A jednak gdyby mogli się kiedyś spotkać, niemało mieliby sobie do powiedzenia. Ich sprawy tylko na pozór nie mają nic wspólnego — reportaż PAWEŁ TOMASZEWSKIEGO, z którego wynika, że nawet gdy urząd nie ma racji, to też ma rację.

— Przemierzam podwórce, stukam do drzwi, lecz nikt nie odpowiada. Naciskam klamkę, drzwi puszczaają i staję w pustej sieni. Stukam do następnych drzwi. Cisza. Naciskam klamkę i wąż do ciasnej, pustej kuchni. Za moimi plecami trzaskają drzwi, słyszę zdyszany oddech, czyjaś dłoń pociąga mnie za rękaw — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Piękność przestała płakać ujęta postawą silnego i urodziwego szewczy, który niebawem wprawił ją w osłupienie — nie dlatego, że oderwał kiwający się obcas, lecz dlatego, że wyciągnął spod bluzy rewolwer i zaczął okładać kolbą pokrzywione gwoździe. Robił to z zadziwiającą zręcznością: osadził obcas, schował rewolwer i ponownie wziął dziewczynę na ręce — najnowsza powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Do gabinetu prezesa byle kto i kiedy chce wejść nie może. Drzwi własnoręcznie otwiera prezes zwalniając zasuwę elektromagnetycznego zamka. Klamka jest z jednej strony, od środka. Na zewnątrz tylko dziurka od klucza, którą pracownicy stale zapychają zapalkami i różnymi śmieciami — reportaż JACKA MIŚKA.

— Przy deficycie motorniczych i kierowców zatrudnia się regulatorów ruchu na trzy zmiany. Siedzą oni w nocy na pustych krawężnikach i myślą, myślą, myślą, a potem biorą za to pieniądze. Szkoda, że nie wynika z tego ich myślenia — mówi motornicz łódzkiego tramwaju.

— Dla mnie Leonid Breżniew był przede wszystkim dziadkiem. Dziadkiem cierpliwym i czułym, jak prawie wszyscy, wesół w obecności swoich trojga wnuków, a kiedy trzeba było, surowy. A ja kiedy tylko mogłem, chętnie chodziłem do jego domu. I dziś też go nie zapomniałem: mój pierwszy syn, który ma cztery lata, nazywa się Leonid — mówi ANDRIEJ JURIEWICZ BREŻNIEW.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

CENA NUMERU 15 GROSZY.

FAGAS SKAZANY NA ŚMIEĆ

przez sąd dorozny w Łodzi.

P. Prezydent Rzeczypospolitej nie skorzystał z prawa łaski.

O godzinie 10-ej wieczorem nadeszła depesza z Warszawy, że P. Prezydent nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok został wykonany dziś nad ranem.

Władimir Władimierzowicz Fagas, 40 lat, urodzony 10 października 1891 r. w Łodzi, był w czasie wojny żołnierzem, a potem pracownikiem w fabryce. W 1920 r. został aresztowany i oskarżony o przynależność do organizacji rewolucyjnej. W 1921 r. został skazany na śmierć. W 1922 r. Prezydent Rzeczypospolitej skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na dożywocie. W 1923 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 10 lat więzienia. W 1924 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 5 lat więzienia. W 1925 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 lata więzienia. W 1926 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 rok więzienia. W 1927 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 6 miesięcy więzienia. W 1928 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 miesięcy więzienia. W 1929 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 15 dni więzienia. W 1930 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 7 dni więzienia. W 1931 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 dni więzienia. W 1932 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 dzień więzienia. W 1933 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 12 godzin więzienia. W 1934 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 6 godzin więzienia. W 1935 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 godziny więzienia. W 1936 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 godzinę więzienia. W 1937 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 30 minut więzienia. W 1938 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 15 minut więzienia. W 1939 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 7 minut więzienia. W 1940 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 minuty więzienia. W 1941 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 minutę więzienia. W 1942 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 30 sekund więzienia. W 1943 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 15 sekund więzienia. W 1944 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 7 sekund więzienia. W 1945 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 sekundy więzienia. W 1946 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 sekundę więzienia. W 1947 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 30 milisekund więzienia. W 1948 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 15 milisekund więzienia. W 1949 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 7 milisekund więzienia. W 1950 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 3 milisekundy więzienia. W 1951 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1 milisekundę więzienia. W 1952 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 300 milisekund więzienia. W 1953 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 150 milisekund więzienia. W 1954 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 75 milisekund więzienia. W 1955 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 37,5 milisekund więzienia. W 1956 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 18,75 milisekund więzienia. W 1957 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 9,375 milisekund więzienia. W 1958 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 4,6875 milisekund więzienia. W 1959 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 2,34375 milisekund więzienia. W 1960 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 1,171875 milisekund więzienia. W 1961 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,5859375 milisekund więzienia. W 1962 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,29296875 milisekund więzienia. W 1963 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,146484375 milisekund więzienia. W 1964 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0732421875 milisekund więzienia. W 1965 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,03662109375 milisekund więzienia. W 1966 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,018310546875 milisekund więzienia. W 1967 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0091552734375 milisekund więzienia. W 1968 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00457763671875 milisekund więzienia. W 1969 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,002288818359375 milisekund więzienia. W 1970 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0011444091796875 milisekund więzienia. W 1971 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00057220458984375 milisekund więzienia. W 1972 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000286102294921875 milisekund więzienia. W 1973 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0001430511474609375 milisekund więzienia. W 1974 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00007152557373046875 milisekund więzienia. W 1975 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000035762786865234375 milisekund więzienia. W 1976 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000178813934326171875 milisekund więzienia. W 1977 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000894069671630859375 milisekund więzienia. W 1978 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000004470348358154296875 milisekund więzienia. W 1979 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000022351741790771484375 milisekund więzienia. W 1980 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000111758708953857421875 milisekund więzienia. W 1981 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000558793544769287109375 milisekund więzienia. W 1982 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000002793967723846435546875 milisekund więzienia. W 1983 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000013969838619232177734375 milisekund więzienia. W 1984 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000069849193096160888671875 milisekund więzienia. W 1985 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000349245965480804443359375 milisekund więzienia. W 1986 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000001746229827404022216796875 milisekund więzienia. W 1987 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000008731149137020111083984375 milisekund więzienia. W 1988 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000043655745685100555419921875 milisekund więzienia. W 1989 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000218278728425502777099609375 milisekund więzienia. W 1990 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000001091393642127513885498046875 milisekund więzienia. W 1991 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000005456968210637569427490234375 milisekund więzienia. W 1992 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000027284841053187847137451171875 milisekund więzienia. W 1993 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000136424205265939235687255859375 milisekund więzienia. W 1994 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000682121026329696178436279296875 milisekund więzienia. W 1995 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000003410605131648480892181396484375 milisekund więzienia. W 1996 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000017053025658242404460906982421875 milisekund więzienia. W 1997 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000085265128291212022304534912109375 milisekund więzienia. W 1998 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000426325641456060111522674560546875 milisekund więzienia. W 1999 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000002131628207280300557613372802734375 milisekund więzienia. W 2000 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000010658141036401502788066864013671875 milisekund więzienia. W 2001 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000053290705182007513940334320068359375 milisekund więzienia. W 2002 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000266453525910037569701671600341796875 milisekund więzienia. W 2003 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000001332267629550187848508358001708984375 milisekund więzienia. W 2004 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000006661338147750939242541790008544921875 milisekund więzienia. W 2005 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000033306690738754696212708950042724609375 milisekund więzienia. W 2006 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000166533453693773481063544750213612234375 milisekund więzienia. W 2007 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000832667268468867405317723750106811171875 milisekund więzienia. W 2008 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000004163336342344337026588618750534055859375 milisekund więzienia. W 2009 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000020816681711721685132943093750267277796875 milisekund więzienia. W 2010 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000010408340855860842566471546875013363889375 milisekund więzienia. W 2011 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000520417042793042128323577343750066819446875 milisekund więzienia. W 2012 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000002602085213965210641617886718750033409734375 milisekund więzienia. W 2013 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000013010426069826053208089433593750016720871875 milisekund więzienia. W 2014 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000065052130349130266040447167968750008360359375 milisekund więzienia. W 2015 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000003252606517456513302022358398437500041801796875 milisekund więzienia. W 2016 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000000162630325872825665101117919921875000209008984375 milisekund więzienia. W 2017 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000008131516293641282755055895996093750001045044921875 milisekund więzienia. W 2018 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000406575814682064137752794799804687500005225224609375 milisekund więzienia. W 2019 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000002032879073410320688763973999023437500002612612234375 milisekund więzienia. W 2020 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000101643953670516034438198699951171875000013063061171875 milisekund więzienia. W 2021 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000000005082197683525801721905934997558593750000065315305859375 milisekund więzienia. W 2022 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000025410988417629008609529674987792968750000032657652796875 milisekund więzienia. W 2023 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000127054942088145043047648374938964843750000016327876389375 milisekund więzienia. W 2024 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000006352747104407252152382418746948242187500000081639376946875 milisekund więzienia. W 2025 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000031763735522036260761912093734741121093750000040819688234375 milisekund więzienia. W 2026 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000000000158818677610181303809560468673705604687500000204098441171875 milisekund więzienia. W 2027 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000007940933880509065190478023433685280234375000001020492205859375 milisekund więzienia. W 2028 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000003970466940254532595239011716842640117187500000051024610296875 milisekund więzienia. W 2029 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000000000019852334701272662976195058583421300585937500000255123051484375 milisekund więzienia. W 2030 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000000992616735063633148809752929171065029296875000001275615257421875 milisekund więzienia. W 2031 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000000049630836753181657440487646458553251464843750000006378076287109375 milisekund więzienia. W 2032 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000000248154183765908287202438232292766257324218750000031890381435546875 milisekund więzienia. W 2033 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000000012407709188295414360121911614638312866210937500000159451907177734375 milisekund więzienia. W 2034 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,0000000000000000000000620385459414770718006095580731915643310468750000007972595358889375 milisekund więzienia. W 2035 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000000003101927297073853590030477903659578216552343750000039862976794446875 milisekund więzienia. W 2036 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000000015509636485369267950152389518297891082761718750000199314883972234375 milisekund więzienia. W 2037 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,00000000000000000000000775481824268463397507619475911489554138085937500000996574419861171875 milisekund więzienia. W 2038 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000000003877409121342316987538097379557447770690429687500004982872099430859375 milisekund więzienia. W 2039 r. Prezydent skorzystał z prawa łaski i zmienił wyrok na 0,000000000000000000000001938704560671158493766904689778723853452146484375000024914360497154296875 milisekund więzienia

Przemysłowy unrow-
skie paczki, zwane
„zrutami”. Nasta-
ły później i prze-
trwały do dziś: od-
rzuty. Słowo za-
czepnięte z nowomowy. Ale
wiadomo, że chodzi o elitarny
dostęp do tego, co poszukiwa-
ne, co wykonano na eksport,
ale granic naszych nie opuści-
ło. O, takie płaszcze i kurtki.
Pora chłodna, a w sklepach i-
to. Marzy się jakiś odrzut na
grzbiet, bo wiadomo, że na
eksport dwie łódzkie firmy,
„Fróchnik” i „Lewartowski”,
potrafią uszyć coś, co zadaje
szyku. Pierwsza z nich, pań-
stwową, to potentat na skalę
kraju. Druga, choć mniejsza i
spółdzielcza — też niezgor-
sza.

Mamy więc w Łodzi dwóch
potentatów:

(A. Fróchnik — 19 „linijek”
w 4-tomowej Encyklopedii
PWN, J. Lewartowski — 7
„linijek” w tymże źródle. To
nomen omen oddaje proporcje
między tymi dwoma zakłada-
mi.)

Jednak lepiej szybko wy-
zbyć się złudzeń. Z odrzutami
dziś kiepsko, jak z produk-
cją na rynek wewnętrzny. Tyl-
ko eksport rozwija się w mia-
rę pomyślnie.

tów, metr bieżący elanobawe-
ny to 26—40 centów itd.

— Tkanina wetniana — opo-
wiada wiceprezes ds. handlo-
wych Jan Urbański — z łódz-
kich zakładów „Barlickiego”,
kosztuje naszą spółdzielnię
0,97 dolara za metr.

U producentów tkanin istnie-
ją bez mała giełdy dolarowe.
Kto da więcej, ten dostanie to-
war. Role grają też względy
towarzyskie, co co można na-
zwać patriotyzmem lokalnym.
Nie oznacza to jednak, że „pa-
triotyzm” jest dziś za złotych-
ki. Aż dusza się raduje, gdy
niektórzy potrafili się oburzać,
że dolar wkładał się tak dale-
ce w nasze życie, w przemysł,
który jest własnością państwo-
wą i zwa go uspołecznionym.
Szkoda siły tracić na takie o-
burzenie. Producent tkanin,
podszewek czy guzików potrze-
bują surowców z importu, mu-
szą znaleźć dewizy na park
maszynowy. Dawniej między
przedsiębiorstwami handlowa-
no tylko za złotychki, ale za-
to eksport był sterowany przez
ministerstwo czy zjednoczenia,
a środki na import też przy-
znawano „centralnie”, a wszyst-
ko szyte było na miarę wolun-
taryzmu gospodarczego. Teraz
przynajmniej mamy jakieś ta-
kie kategorie efektywności
eksportu i lepiej już nie po-
wracać do dawnego. Na nic

trwa w stanie znanym już od
kilku lat. Był przed kilku la-
ty program zmian struktural-
nych w łódzkim przemyśle
lekkim. W pierwszej wersji wy-
mieniano w nim firmy, z po-
działem na dobre i złe. Te
drugie powinny być likwido-
wane, dzielone, zmniejszane o
nieefektywne ogniwa. W za-
patrzeniu zapowiadano prefero-
wanie najlepszych. Dobrzy,
kosztem złych, mieli osiągać
także pożądane zatrudnienie
(korzystne efekty konkurencji).
W drugiej wersji programu po-
dział na dobrych i złych znik-
nął, znów wszystko zaczęło się
rozmywać, a zadecydowały o
tym względy nie związane z e-
konomią. Nie sugerujemy się
motywami społecznymi — spo-
łeczeństwo na takiej zmianie
też by nie straciło. Nie cho-
dziło o pozbawienie ludzi pra-
wa do pracy, o zamienianie
zakładów w ziom i gruzy. Dla
wykorzystania „martwej” czę-
ści potrzebny był na przykład
obcy kapitał zagraniczny. A ten
ostatnimi laty zaczął się od-
nas odwracać, a to ze wzglę-
du na warunki fiskalne, za-
mało atrakcyjne dla zagra-
nicznych przedsiębiorców, sko-
ro jesteśmy krajem, w którym
inwestowanie wiąże się z naj-
większym ryzykiem, wynika-
jącym także z tego, że przepi-
sy zmieniają się nieustannie
(inflacja prawodawstwa gospo-
darczego równa jest tylko in-

Kalkulując zysk trzeba u-
względnić podatki. I uwzględ-
nia się. W cenie!

— Chyba już tylko nie pla-
cimy podatku od oddychania
— wzdycha prezes Ksit.

W naszej rozmowie pojawiło
się słowo: dywidenda. Rozróż-
niające spółdzielnię od przed-
siębiorstwa państwowego. A
przecież należałoby rzec, że
spółdzielczość uległa wynatu-
rzeniu. Z dawnymi zasadami,
którym patronowała PPS, ma
obecnie niewiele wspólnego.
Nie chodzi tu tylko o to, że
dywidendy to w gruncie rze-
czy premie dla pracowników,
gdy dawniej były finansowym
potwierdzeniem sprawności
gospodarczej dla udziałowców.
To wszystko wiąże się jeszcze
ze stalinizacją naszej gospodar-
ki, z przegraną przez PPR, a
wygraną przez PPR, „wojną”
o handel.

**Długi jest więc łańcuch
utworzony z ognia, z
których każde dostatecznie
długo było jeszcze jednym
błędym kółkiem
gospodarki.**

I ten łańcuch w spółdzielni
od płaszczy i kurtki zgrzyta
podobnie, jak i u innych.

Dla uczynienia miłej przer-
wy w tych dywagacjach z pre-
zesem Urbańskim wybieramy
się do magazynu wyrobów go-
towych. (Trudno, niech czytel-
nicy posądzają mnie, że i dla
siebie szukałem odrzutu...). W
magazynie pustawo, nie bar-
dzo na czym oko zatrzymać.
To, co miało trafić na eksport
mury te już opuściło. Co zo-
stało — uszyte jest z tkanin
pozbawionych wdzięku.

Tymczasem prezes Ksit pod-
nosi słuchawkę telefonu. Dzwoni
pani prezes z innej spół-
dzielni. Potrzebowała płaszczy
dla bliskich znajomych.

Prezes jest więc zdenerwo-
wany:

— Iu ja mam takich klien-
tów! Ileż razy muszę odma-
wiać. Nawet jakbym chciał, to
nie mam co sprzedać.

Tak naprawdę, to nikt dziś
nie wie, jaka powinna być
produkcja płaszczy, aby zas-
pokoić tzw. społeczne potrze-
by. Nie da się zadekretować,
że jedna osoba nie powinna
mieć więcej niż jeden płaszczy.
Na nic, wobec braku nici, zda
się jakaś egalitarna teoria rów-
ności grzbietów do okrycia.
Każdy kupuje co się da, byle
zamienić substytut pieniądza
na konkretny towar. Początek
dekady przyniósł zniszczenie
rynku. Przez kilka lat był on
powolnie odbudowywany. Nie-
dawna, poprzedzona referen-
dum, operacja cenowo-dochod-
owa doprowadziła do ponow-
nego zniszczenia rynku, i to w
stopniu jeszcze dotkliwszym.
Można nawet powiedzieć, że
kondycja naszego przemysłu
jest lepsza niż wynika to ze
stanu półek sklepowych, lecz
dla obywatela słabe to pocie-
szenie.

A jednak Witolda Ksita cie-
szy rozpoczynający się rok ka-
lendarzowy. Choć produkcja
ilościowo będzie w zasadzie ta-
ka sama, to już tylko połowa
trafi do naszych sklepów.
Eksport wzrośnie dwukrotnie!
Anglia zamówiła 20 tys. kur-
tek, Szwajcaria 16 tys. bleze-
rów, Kanada 10 tys. prochow-
ców, USA — 25 tys. płaszczy.
Płaszcze kupi też Irlandia — 5
tys. sztuk. „Lewartowski” bę-
dzie bogatszy w dolary. A do-
lar kształtuje i był, i świado-
mość.

— Kończymy z wyjazdami
na poznańskie targi krajowe
— mówi prezes. — Po co na-
różać się na koszty i niewygo-
dy, wynikające z braku miejsc
w hotelach, skoro cała nasza
produkcja praktycznie została
już sprzedana zanim zaczął się
1989 rok.

Nasze miasto

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Obok silnej propagandy mamy coraz bardziej słabnący przemysł.

Płaszczy w dolarowe łaty

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

**Spółdzielcze Zakłady
Przemysłu Odzieżowego im.
J. Lewartowskiego
prowadzą dwa sklepy
firmowe.**

W tym przy ulicy, której
patronuje ksiądz Brzóska, nie
ma na czym oka zatrzymać.

Witold Ksit przesuwający
„Lewartowskiemu” opowiada o
niedawnym szturmie na tenże
sklep:

— Sprzedawaliśmy kurtki
dzinsowe. Ze sklepu tuż do
targowiska: odrzucono metki i
kurtki, już jako tureckie, sprze-
dawano tam po dwukrotnie
wyższej cenie.

Pozostały wspomnienia i pus-
te półki.

Pośród wspomnień nieco od-
leglejszych jest opowieść o tym,
że „Lewartowski” potrafił w
ciągu roku uszyć 300 tys.
szuk płaszczy i kurtki. Było
i minęło wedle dzisiejszych
perspektyw — bezpowrotnie.

Tych 140 tys. sztuk odkryć z
1988 roku przychodzi uznać za
wynik dobry, tyle, że 37,5 tys.
wyjechało poza nasze granice.

Do USA.

Do Szwajcarii.

Do Anglii...

Letni płaszczy sprzedawano za
12—13 dolarów. Taki sam, gdy
trafił do łódzkich sklepów, to
po 12 tys. zł (wychodzi, że do-
lar za tysiąc złotych).

Skoro spółdzielczych płaszc-
czy w Łodzi brakuje, to pewnie
są w Nowym Jorku? Sam tego
nie sprawdzę; ufając moim
rozmówcom mogę napisać, że
jeśli są w tamtejszych marke-
tach — to po 100 USD. To kil-
kokrotnie przebiecie wynika z
kosztów transportu, z marży
handlowej, z kosztów poniesio-
nych na reklamę (ileż tam wy-
dają na pozyskanie względów
klienta)... A od siebie mogę
dodać, że jednym z najcenniejs-
zych walorów naszego eksportu
jest niska cena.

Dolarowa pasja „Lewartow-
skiego” to w rzeczywistości
presja, której trzeba ulec.

Krajowi producenci za nitkę,
guzik czy worek foliowy chcą
złotówek, ale i dolarów. Za
podszewkę, zależnie od dostaw-
cy, trzeba zapłacić 20—40 cen-

też fantasmagorie, że import
nam niepotrzebny, więc eksport
również nie. Pewnie, że ten
pierwszy mógłby być ograni-
czony, gdyby ruszyła krajowa
produkcja tego, co importuje-
my, ale nie tworzymy mitów o
samowystarczalności, bo kon-
cepcje autarkiczne położyły
niejedną socjalistyczną gospo-
darkę. Gdyby dziś producentów
tkanin odciąć od dewiz z
przedsiębiorstw odzieżowych, to
prowadziłoby to do obniżenia
produkcji albo do zwiększenia
eksportu tkanin, a płaszczy
przez to by nie przybyło.

A więc „Lewartowski”, choć
nie importuje surowców, to
produkcję swą musi eksportować
(teraz modne jest stwier-
dzenie, że mamy dwuwalutową
gospodarkę — jest w tym coś
z prawdy, bo funkcjonuje silny
dolar i substytut pieniądza —
złoty polski; a stan ten
trwać będzie dopóki nie spełni-
my wymagań Międzynarodo-
wego Funduszu Walutowego,
nie uczynimy ze złotego waluty
wymiennej. W spółdzielni
pogodzone się z takim dictum
i rzecz w tym, aby za dewi-
zy sprzedać jak najwięcej, bo
przecież — jak w przypadku
innych przedsiębiorstw czy
spółdzielni — firma ma prawo
do dysponowania circa piątą
częścią dolarów z eksportu,
zgromadzonych na rachunku
odpłatów dewizowych (ROD) i
to po wykupieniu waluty wy-
miennej za złotychki.

— Na gorze chciałoby, aby
firma balansowała, od ścian
do ścian — mówi prezes Ksit.
— Niedawno zachęcano nas do
eksportu, a okazało się, że w
sklepach pusto i mamy więcej
produkować dla kraju. Zagra-
niczni odbiorcy takiej huśta-
wki nie wytrzymają, najwyżej
zmieniają dostawcę. Eksportu
więc nie ograniczymy. Obie-
cano korzyści finansowe za do-
datkową, ponadplanową pro-
dukcję na rynek wewnętrzny.
My się chętnie podejmujemy,
tylko kto da nam tkaniny? Do-
datkową produkcję widać więc
najlepiej w propagandzie.

**Obok silnej propagandy
mamy więc słabnący
przemysł.**

Nie wykorzystane moce pro-
dukcyjne, co kosztuje. Hale, w
których pracuje tylko część
parku maszynowego. Maszyny
nie zarabiają na siebie tak, jak
powinny (fachowo: niska pro-
duktywność majątku trwałe-
go). A jednak ten „kram”

facji złotego). Pierwsi otwo-
rzyliśmy się dla przedsię-
biorstw zagranicznych, a od
połowy lat 80. brneliśmy w
takie rozwiązania, że „dewi-
zowcy” przenieśli się do... in-
nych państw socjalistycznych,
które prawem konkurencji
stworzyły lepsze warunki fi-
nansowe.

Mamy więc zły kram, ale
drogi.

W „Lewartowskim” twierdzą,
że ten stan im także przeszkad-
za. Widać spółdzielnia czuje
się silną ekonomicznie.

Jest to jednak bogactwo na
miarę naszej wspólnej biedy.
O apetycie na dewizy już by-
ło powyżej. Ze złotychkami też
nie jest wesoło (znów cecha
wspólna dla naszego przemy-
słu). Kto myśli o przyszłości
— ten powinien się rozwijać.
O naszym przemyśle można
powiedzieć coś przeciwnego.
Jest przestarzały i nadal się
starzeje (w ekonomii zwie się
to stopniem zużycia środków
trwałych). Jak temu zapobiec,
skoro budżet państwowy był
tak łapczywy? W państwach
wysokie rozwiniętych istnieje
jeden bądź dwa podatki. U nas,
licząc także quasi-podatki —
jest ich kilkanaście. Jeżeli
„Lewartowski” wypracował np.
w 1987 roku 101 mln zł zysku,
to z tych pieniędzy spółdzielnia
pozostała 24 mln zł. Tylko po-
datek dochodowy stanowił 65
proc. zysku (w „Lewartowskim”
rozmawiałem przed wprowadze-
niem nowej ustawy, zwanej
konstytucją gospodarczą —
przyp. ZG) — gdy tymcza-
sem zysk do podziału musi wy-
starczyć na rozwój, a z niego
też płacone są dywidendy dla
spółdzielców (odpowiednik
„czternastek” w przedsiębior-
stwach państwowych).

Warto pamiętać o wygórowa-
nym podatku dochodowym,
gdyż wynika stąd prosta za-
leżność: ze wzrostu cen, przy-
sparzającego firmie większy
zysk, największe korzyści wy-
nosi budżet państwowy. Przez
budżet państwowy przechodzi
48 proc. dochodu narodowego!
To właśnie z tych środków —
przez dotacje — finansowane
jest to, co deficytowe. A więc
kopalnie, huty... Ale nie tyl-
ko przemysł! Ci, którzy wypra-
cowują zyski, pracują na u-
trzymanie tego, co jest kulą u
nogi naszej gospodarki. „Le-
wartowski” też ma swój udział
w dopłacie do nieefektywne-
go.

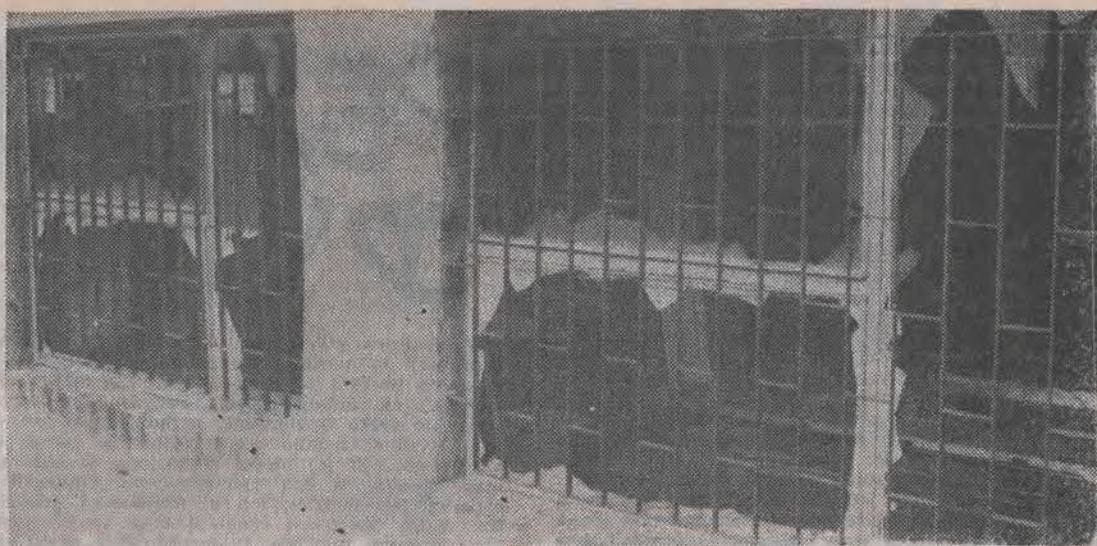


Foto: Zygmunt Wiczorek

W noc sylwestrową w Żorach

ze str. 1

że jest już po wszystkim, więc wróciłem do stołu, gdy nagle tak mocno huknęło, że wiedzieliśmy, że jakimś dziwnym przecięciem natychmiast wybiegliśmy na ulicę...

Podobne wrażenia miała Zofia Balcarek, mieszkająca w nieco bliżej urzędu położonych domkach jednorodzinnych.

— U naszych sąsiadów poleciały szyby — opowiada. — Nam pootwieraly się okna i drzwi balkonowe. Gmach urzędu wyglądał tak, jakby było tuż po wojnie. Puste kikuty okien, fruwały na wietrze firany, dym, góra rozbitego szkła. Tuż po eksplozji spojrzalam na zegarek. Była godzina 0.20...

Skutki wybuchu są dość zaskakujące. Z jednej strony promień rażenia był daleki — szyby wylatywały w budynkach i sklepach położonych 200—300 metrów od urzędu. Z drugiej zaś 8-metrowa choinka stojąca w gmachu kilka metrów od drzwi wejściowych nie straciła ani jednej bombki. Wielkość szkód szacuje się na 6—10 milionów złotych. Zniszczeniu uległo 6 drzwi wewnętrznych wraz z framugami, 20 świetlików, 119 okien frontowej części budynku. Ucierpiało także 30 budynków jednorodzinnych i kilka pobliskich sklepów.

Moim zdaniem ładunek wybuchowy nie należał do klasy bardzo silnych — twierdzi zastrzegający sobie anonimowość jeden z milicyjnych techników. — Betonowe schody przed wejściem oraz betonowy daszek nad głównymi drzwiami zadziałały jako ekran. W rezultacie fala uderzeniowa wybuchu poszła w górę i na znajdujące się o przeciwną stronę ulicy budynki...

Sadzę, że gdyby sprawcy chcieli, to mogliby cały gmach wysadzić w powietrze — dodaje również prosiący o niepodawanie jego nazwiska górnik z kopalni Im. ZMP. — Dla ludzi z mojej branży nie stanowiłoby to problemu...

Aleja Ludowego Wojska Polskiego przy której znajduje się Urząd nie należy do głównych ulic miasta Żory. Jest to raczej boczna jego uliczka, pusta i cicha w porze nocnej. Zmarła zabudowa starej części

miasta kończy się jakieś kilkadziesiąt metrów stąd. W tym miejscu rozpoczyna się nowe miasto czyli siedem luźno rozrzuconych po okolicznych pagórkach osiedli mieszkaniowych. Najbliższe budynki po tej stronie ulicy, gdzie mieści się Urząd, znajdują się od niego jakieś 100—150 metrów. Naprzeciwko mieści się baza remontowo-budowlana i nieco głębiej pawilony sklepowe oraz bloki. Do przeprowadzenia zamachu bombowego, przy założeniu, że sprawcy mają odrobinę przyzwyczajenia i kierują się względami bezpieczeństwa życia i zdrowia ludzkiego, miejsce nadaje się więc idealnie.

O tym, że za wybuchem kryją się ludzie, że czyn był zamierzony, nikt w Żorach nie ma najmniejszych wątpliwości. Gazu w tej okolicy nie ma. Początkowo podejrzewano awarię energetycznej tablicy rozdzielczej znajdującej się przy mieście wybuchu. Tablica poszła w strąpy, jej fragmenty znajdowano w odległości kilkudziesięciu metrów, lecz same urządzenie całkowicie nie wysłady. Jedną z faz zasilania odbiorców nadal. Energetycy wykluczyli ponad wszelką miarę awarię.

Aż tak zapiekłych wrogów raczej nie mam — próbuje zachować nogę do ducha prezydent miasta Grzegorz Utrata. — Nie mnie się wypowiadać o motywach sprawców. Może komuś coś się nie podobalo, a może to nieowadźnialny i nieodpowiedzialny żart sylwestrowej fajerkowej hecy. Miejmy nadzieję, że odpowiedź przyniesie śledztwo. Do tej pory w życiu miasta nie zaznaczyły się jakiegokolwiek zorganizowane grupy obojętnej politycznej, a tym bardziej o zabarwieniu terrorystycznym...

Miasto, jak zawsze przy takich okazjach, trzęsie się od domysłów i plotek. Ponoć 10 minut po północy przechodził wtedy milicyjny patrol i legitymował jakichś podejrzanego wyglądających przechodniów. Inna plotka twierdzi, że anonimowy rozmówca telefonicznie groził takim wybuchem jednej z mieszkańek miasta w przekonaniu, że rozmawia z pracownicą Urzędu Miejskiego. Pomylili się, gdyż numer wziął z kszaliki telefonicznej nie wiedząc, że to tylko przypadkowa zbieżność imion i nazwisk, zaś prawdziwa pracownica urzędu telefonu nie ma.

Organa dochodzeniowe milicji zastępując się dobrem śledztwa odmawiają udzielania informacji.

— Może tylko powiedzieć, że toczy się wielokierunkowe śledztwo i że wszystkie konieczne czynności zostały wszczęte — powtarza lakoniczna formułka szefa miejscowego Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Ze wzmoczonego milicyjnego ruchu wokół Urzędu Miejskiego można wnioskować, że sprawę potraktowano bardzo poważnie. Włączyły się ekipy WUSW w Katowicach a śledztwo nadzoruje MSW w Warszawie.

Jeden fakt jest bezsporny — akt terroru, nawet jeśli miał być w zamierzeniu jego sprawców tylko sylwestrowym żartem, został wymierzony przeciwko siedzibie administracji państwowej. Do ogólnie rozumianych władz są wśród mieszkańców tego miasta znaczne pretensje. Część z nich jest takiej samej natury, jak pod każdą inną szerokością geograficzną Polski. Część ma lokalny charakter.

Tu się żyje po prostu nędznie — kwituje jeden z gapiów pod Urzędem Miejskim. Przynajmniej mu rację przyznaje miasto.

Przez stulecia miasto nie miało szczęścia: należało do najstarszych miast w Polsce, gdyż prawa miejskie uzyskał w 1272 roku. W 1939 roku było tu raptem około 5 tysięcy mieszkańców. Mieliśmy też pcha w 1945 roku. Pod koniec stycznia front zatrzymał się na przedpolu miasta. Niemcy bronili się zaciekłe ponad 2 miesiące. Miasto zostało zniszczone w 86 proc. Jest to w Polsce trzecie miasto po Warszawie i Jasle, pod względem wielkości odniesionych strat. Życie długo wracało do normy. Jeszcze w latach siedemdziesiątych odbudowywaliśmy niektóre posesie w starej części miasta. Do dziś kilka placów czeka na inwestycje i konserwatorów, gdyż ze względu na bardzo dobre zachowanie średniowieczny typ całej zabudowy, nie bez nich nie możemy zrobić. Dopiero w latach sześćdziesiątych zapadły decyzje nomyślne dla miasta. Rozpoczął się boom. Wybudowano Zakłady Wytwarzające Urządzeń Sygnalizacyjnych dla kolei, przedsiębiorstwo budowlane „FADOM”, dwie kopalnie. Za-

kład Tworzyw Sztucznych „Erg” Znalazło tu też lokalizację kilkanaście mniejszych firm zaplecza górnictwa. Dziś miasto ma 67 tysięcy mieszkańców. W latach siedemdziesiątych oddawano rocznie 1200 mieszkań, a więc co roku przybywało nam ok. 5 tysięcy ludzi. Ściągali tu ludzie z całej Polski. — Chcesz od razu mieć mieszkanie, przyjeżdżaj do Żorów — mówiono.

Kryzys zalał tempo rozwoju. Kiedyś planowano 120-tysięczne miasto, dziś ostrożnie mówi się o granicy 85 tysięcy. Nowych mieszkań przybywa, ale zaledwie w ilości 200 rocznie. Okres oczekiwania wydłużył się do 7 lat. W innych rejonach kraju byłoby to sukcesem, tu ludzie mają poczucie klęski. Jak zwykle w polskich warunkach najcięższe dla mieszkańców są opóźnienia w budowie infrastruktury miejskiej.

Oceniam je na około 12 lat — mówi z gorąco prezydent. — Przy założeniu, że nie byłoby kłopotów ze środkami finansowymi i mocami przerobowymi budownictwa. Z tych 10 właśnie względów trzeba było spowolnić pracę budownictwa mieszkaniowego...

20 szkół podstawowych pracuje w większości na trzy zmiany. 19 przedszkoli i 4 żłobki dla miasta, w którym przeważają zdecydowanie ludzie młodzi, to także stanowczo za mało. 12 kawiarni, barów, restauracji, w większości mikroscopijnych lokalików, to właściwie nic. Rozwijać trzeba sieć handlową, usługową i placówek służby zdrowia, rozładować tłok w komunikacji miejskiej, budować nowe ulice, uprządkować gospodarkę ściekową starego miasta, wybudować nowe szkoły, zwłaszcza ponadpodstawowe. Powodów do frustracji w Żorach nie brakuje.

Ponadto spora część mieszkańców pracuje w pobliskim Jastrzębiu traktując Żory jak sypialnię, co nie sprzyja integracji społeczności miasta wokół jego problemów. Kiedy w poniedziałek, a więc drugiego dnia po wybuchu, rozmawiałem z mieszkańcami Żorów, spora ich grupa nie wiedziała o ostatnim wydarzeniu. Jedni emocjonowali się wypadkiem, czy też nawet jak np. szlachetny Wacław Michalski i Władysław Górnik sami z siebie przychodzili z bezinteresowną pomocą (działali takim postawom Urząd mógł rozpocząć normalną pracę w poniedziałek rano). Inni wyrażali zaskoczenie samym faktem wybuchu, mimo że o incydencie informowała lokalna prasa, radio, tv. Nie ma bardziej wyrazistego dowodu dezintegracji miejscowego społeczeństwa.

W tych warunkach niezadowolone może przybrać bar dziej wynaturzone formy, choć jak do tej pory nie objawiało się nawet w postaci większej skłonności mieszkańców Żorów do akcji strajkowych. W 1988 roku w sierpniu protestowała w ten sposób, i to tylko przez kilka dni, jedna z żorskich kopalni.

Wstrząs pod Urzędem Miejskim w Żorach ma głębsze znaczenie i powinien być okazją do zastanowienia się nie tylko dla tutejszych władz. Miast i miasteczek o tak wysokim poziomie frustracji jak w Żorach jest w Polsce wiele. W każdym z nich może dojść do „wybuchu”. Dyskutując przez ostatnie lata o sprawach ogólnych, generalnych, zapomnieliśmy, że dla milionów ludzi równie ważne są te dotyczące ich najbliższego otoczenia.

Ślaski zamach bombowy, choć być może wynikający tylko z nieodpowiedzialnego kawału, żartem nie jest. Zresztą żarty też nie są nigdy oderwane od okoliczności, w jakich powstają. Śledztwo trwa.

Żory, 2 stycznia 1989

MIROSLAW KULIS

P.S. Jak poinformowało WUSW w Katowicach, 3 stycznia 1989 r. funkcjonariusze zatrzymali 3 nieletnich — jednego w wieku 15 lat i dwóch szesnastoletników podejrzanych o spowodowanie wybuchu. U jednego z nich znaleziono m.in. zapalnik górniczy i pojedyncze naboje z różnych rodzajów broni. Do wyjaśnienia okoliczności sprawy szef WUSW w Katowicach powołał grupę dochodzeniową, która ma ustalić motyw działania zatrzymanych, którzy pozbawieni nadzoru rodzicielskiego najprawdopodobniej w ten sposób chcieli „uczcić” Nowy Rok.

M. K.

Czy żywność może być zdrowa, a my umiemy z niej korzystać?

Jak przyrządzać i co jeść?

Rozmowa z prof. BOLESŁAWEM BACHMA-NEM — przewodniczącym Komitetu Naukowo-Technicznego do spraw Gospodarki Żywnościowej NOT.

— Pojęcie „zdrowa żywność” wzbudza wiele emocji, no bo żywność powinna być zdrowa, a przecież nie jest to takie oczywiste i proste w dobie rozwoju cywilizacji i degradacji środowiska naturalnego.

— Niestety, nie jest. Z jednej strony cywilizacja służy ludzkości, z drugiej strony niszeje z sobą elementy, które prowadzą do jej zagłady. Jest rzeczą już ogólnie znaną, że w miarę rozwoju przemysłu, środowisko nasze ulega coraz silniejszemu skażeniu. A co za tym idzie żywność zawiera elementy szkodliwe dla naszego zdrowia. W świecie sprawa ta znalazła już znalazła już rozwiązania zwłaszcza tam, gdzie trzeba było zdobyć się na najwyższy wysiłek.

— U nas idzie to jakoś opornie. Ochrona środowiska przeważnie przegrywa z przemysłem.

— Oczywiście urządzenia służące ochronie środowiska są kosztowne, rzecz nie tylko w pieniądzu. Przede wszystkim trzeba zmienić sposób myślenia projektantów, technologów i chemików oraz założenia przy budowaniu zakładów przemysłowych. To, że mamy do czynienia z zanieczyszczeniem środowiska wynika z chęci zaoszczędzenia i niechęci do poniesienia określonych wydatków, które to wydatki przed czy później i tak trzeba ponieść, najczęściej sporym kosztem społecznym.

Z zawodu jestem chemikiem, znam mi są warunki pracy przemysłu chemicznego. Dlatego też wystąpiłem na ostatnim Kongresie NOT w Gdańsku z wnioskami, ażeby w przyszłości nie dopuszczać do pracy zakładów przemysłowych, które emitowałyby jakiegokolwiek szkodliwych produktów poza teren, jaki zajmują. Uważam, że Naczelna Organizacja Techniczna powinna podjąć takie działania, aby zakłady przemysłowe, którym dale się koncesje, najpierw zabezpieczyły otoczenie, wprowadzając dodatkowe elementy technologii likwidujące zanieczyszczenia powietrza, wody i gruntu. Konieczny jest wspólny wysiłek po to, abyśmy nie zatruli tego, czym mamy potem żywić się i oddychać.

— Od wielu lat rząd deklaruje duże zainteresowanie sprawami żywności i żywienia, a mimo to temat ten jest nadal aktualny.

— Cała tragedia leży w tym, że deklaracje w dużej części zostają deklaracjami, a rzeczywistość jest inna. Nie realizuje się tego, co się podejmuje w formie uchwał na zjazdach, kongresach i zgromadzeniach. Obecnie znów usłyszeliśmy, że pierwszym planem zadaniem nowego rządu jest przede wszystkim podniesienie do właściwej rangi zagadnień rolnictwa, a w związku z tym wyżywienia. Co nam zostaje? Poczekać i jeszcze raz uwierzyć, że tak będzie.

— Powołaliśmy wiadomo, że przemysł spożywczy jest niedoінwestowany. Postuluje się nowe budowy, wymianę maszyn i urządzeń. Czy jednak w pełni są wykorzystane już istniejące zakłady przetwórcze?

— Niefachowcy mało wiedzą na temat strat w procesie przechowywania żywności. Okazuje się bowiem, że na skutek magazynowania i samych procesów technologicznych powstają straty sięgające 25—30 procent. Jest to bardzo dużo. Świadczy też o tym jak wielkie możliwości tkwią w już istniejących zakładach.

— A co z kadrami inżynieryjno-technicznymi?

— Okazuje się, że w przemyśle spożywczym i przetwórczym mamy drastycznie małą ilość wykształconych inżynierów i technologów. Brakuje natomiast średniej kadry technicznej. A to marwi, ponieważ wolno wygrywała podoficerowie, a nie generalowie.

— Już od 10 lat przy Województwie Radzie NOT w Łodzi istnieje komitet naukowo-techniczny ds. gospodarki żywnościowej. Tegoroczna konferencja naukowo-techniczna na temat napojów w żywieniu jest już szóstą z kolei, zorganizowaną przez ten komitet. Wszystkie dotyczyły w jakiś sposób tematyki żywienia. Skąd ta konsekwencja?

— Tak się szczęśliwie złożyło, że zebraliśmy ludzi, pochodzących z rozmaitych stowarzyszeń zrędnionych w federacji NOT, którzy mieli wspólne poglądy na sprawę gospodarki żywnościowej i rolnictwa. I właśnie wspólnota poglądów sprawiła, że to grono fachowców ciągle widzi przed sobą jakieś problemy do rozwiązania. Nie chcemy powtarzać się w tym działaniu. Biorąc pod uwagę skalę potrzeb, staramy się nurtujące nas problemy opracowywać, a wyniki przekazywać odpowiednim władzom i instytucjom.

— Na konferencji zajmowano się rolą napojów alkoholowych w żywieniu człowieka. Autorzy referatów nie ocenili alkoholu jednoznacznie negatywnie. Czy w związku z tym nie obawia się pan ataków ze strony środowisk abstynenckich?

— Dopiero pod koniec konferencji okazało się, że obecni byli na niej przedstawiciele krajowego i łódzkiego Komitetu Antyalkoholowego. Nie rozumiem, dlaczego nie zabrali głosu w dyskusji, ani w sensie pozytywnym, ani negatywnym. Nie wiemy, nawet, co sądzą o tej konwencji.

Wydaje mi się, że potępienie w czambuł napojów alkoholowych jest zupełnie niewłaściwe. My tu będziemy mówić, że nie należy pić, tymczasem handel wola a kolejne dostawy z „Polmosu”. Bo rynek potrzebuje, bo konsumenci chcą... Takie jest życie i natura ludzka. Moim zdaniem problem tkwi nie w samym alkoholu, ale w naszej kulturze! Gdzie indziej bowiem, jeśli się pije napoje alkoholowe, to nie w sposób, który jest charakterystyczny dla nas Polaków.

— Specjaliści zajmujący się żywieniem, dbając o naszą kondycję, walczą przede wszystkim o szeroko pojętą wiedzę na temat racjonalnego odżywiania się. Kuchnia polska nie należy do najzdrowszych i łatwostrawnych.

— Myślę, że ten element edukacji społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia jest istotnie niestęchanie ważny. (Myślę o umiejętności korzystania z tzw. zdrowej żywności). Cóż, każdy powinien wyjść z domu rodzinnego z pewnymi nawykami i z własnym przekonaniem do racjonalnego odżywiania.

Natomiast nie na miarę potrzeb są możliwości praktyczne realizacji zasad racjonalnego żywienia. Bo jak można wytłumaczyć sobie fakt, że w dużym europejskim mieście, jakim jest Łódź, nie ma ani jednego miejsca, gdzie można przysiąć i wypić napoje mleczne bezalkoholowe i alkoholizowane tak jak to ma miejsce w światowych barach mlecznych. Jest kolosalną przyjemnością wejść do lokalu, zjeść dobre ciastko, wypić kawę naturalnie ze świeżą śmietanką i poprosić na przykład o koktajl mleczno-truskawkowy z niewielkim dodatkiem alkoholu.

— Ogromnym problemem jest na pewno edukacja społeczeństwa, ale problemem są także możliwości przemysłu w dostarczaniu dobrej żywności i zdrowych napojów na rynek.

— Cóż, środki na rozwój przemysłu spożywczego są ciągle za małe. Park maszynowy jest już wyeksploatowany. Wątpliwości wzbudza rzetelność wykonania nowo budowanych obiektów. Pekające posadzki i sufity, odrywające się kafelki to niestety powszechny widok.

Przemysł nadal produkuje za mało soków warzywnych i owocowych, a za dużo napojów sztucznych, stanowiących kompozycję wody, cukru, aromatów czy barwników syntetycznych, które nie mają nic wspólnego z naturalnym sokiem. A te napoje piją niestety nasze dzieci, którym jakoś często szkoła nie może zapewnić szklanki gorącego mleka z powodu braku zaplecza technicznego, odpowiednich kubeczków i naczyń kuchennych.

Rozmawiała: EWA SZARKOWSKA



Urząd Miejski w Żorach w dzień po wybuchu

Foto: Zygmunt Wiczorek

Głos

Czy głos twój
Będzie zawsze powracał
Jak wołanie w ciemni
Czy w krągłości dnia
Rozpoznam lato
Rozspane w sieci zielonego oka
Czy chwila narodzin
Musł być wypełniona chłodem
Bijącym z nieba —

A jeżeli w monotonnym szmerze
(Przypływu i odpływu) piasku
Odnaję miękkość
Objawionego dotyku —

W pradawne słowa
Wplotłem dzieje
Tak śmiertelne
I tak niemożliwe —

Zmarł przed rokiem Henryk Hartenberg, zyskał w polskiej poezji swoje szczególne „nacechowanie”, swój odrębny ton stylistyczny. Jego żarliwa, „gorąca” poezja mieściła się między czystą liryką i szlachetnym zaangażowaniem. Przede wszystkim jest poezją refleksyjną, podejmującą problemy przemijania, sytuacji poety w czasie i ludzkiej kondycji uwikłanej w Historię. Wydatne następujące tomiki wierszy: „Cień ptaka”, „Słońce we krwi”, „Prawo plemiennia”, „Strony jest czas”, „Dzień po dniu”, „Wysięcie z ciemności”, „Znaki pamięci”, „Misterium”. Przypominamy Jego osobą wierszem wyjętym z ostatniego tomu.

Półka z książkami

„SPOJRZENIE NA SZTUKĘ”

Drugie wydanie książki Andrzeja Osęki „Spojrzenie na sztukę” nosi datę 1987 rok, co nie oznacza, że jej aktualność pokryła się patyną. Zarówno rozważania autora, jak i sama sztuka, mogą być odczytywane na nowo i nigdy tak naprawdę nie zostają w tej sprawie wypowiedziane ostatnie słowa.

Jestem przekonany, że książka, o której mowa, znajdzie czytelników przede wszystkim wśród tych, którzy pragną nie tylko kontemlować dzieło sztuki, ale je rozumieć jako ważną część konkretnych historii myśli ludzkiej.

Andrzej Osęka: „Spojrzenie na sztukę”. Wiedza Powszechna 1987. Str. 296. Cena 700 zł.

„MIŁOŚĆ, PROKREACJA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ”

Nie jest to kolejny podręcznik ars amandi, lecz jak piszą autorzy „Chodziło o bliższe charakterystyki zachowań człowieka w odniesieniach seksualnych i wyrażania się jego zdolności prokreacyjnej”. Czyli — o ratunek przed ekologicznym zagrożeniem stery piciowej gatunku Homo sapiens.

Myślę, że jest to książka bardzo potrzebna i bardzo na czasie, zważywszy na nieobliczalne zachowanie się człowieka w tej ważnej sterze ludzkiego życia.

Książka powstała wysiłkiem trójki lekarzy: Włodzimierza Fijałkowskiego, Marii Lisieckiej-Berkan i Ewy Małolepskiej.

„Miłość, prokreacja, odpowiedzialność”. Wiedza Powszechna 1987. Str. 128. Cena 180 zł.

E. I.

JESZCZE TROCHĘ PANOCKU
A PO KILOGRAM CUKRU
BĘDE SZŁA Z TRZEMA
KILOGRAMAMI ŻŁOTÓWEK



Rys Sławomir Luczyński

Powieść Józefa Łozińskiego „Statek na Hel” nazwać można artystyczną biografią pokolenia rówieśników Polski Ludowej. W warstwie fabularnej przedstawia ona powolny, najeżony materialnymi kłopotami oraz przeciwnościami losu awans społeczny i intelektualny młodego człowieka, który — wyszedłszy z chłopskiej biedoty — po nieudanych próbach zdobycia fabrycznego zawodu zostaje adeptem pióra i „wyje po nocach nad pustą kartką papieru próbując wymierzyć sprawiedliwość”. Trudna to sprawa, bowiem Dobra i Zła zarówno w życiu narra-

teraźniejszości. Fatum na równi z brakiem poszanowania realiów stanowi o współczesnej polskości. Diagnoza przyjmuje postać oksymoronu: „w zasadzie nikt tu nie był winien, a jednocześnie wszyscy byli winni”.

„Statek na Hel” pozostaje typowym dla prozy Łozińskiego. Decyduje o tym właśnie nagromadzenie oksymoronów, zdań-haseł eksponujących sprzeczności natury świata i natury ludzkiej, dionizyjska wręcz bujność języka, piętrzący problematykę i realia, aby swym potężnym kształtem przytłoczyły czytelnika.

mistyczny przeżycie, jakiego doznał Mariusz Pasek w oczekiwaniu narodowych emblematów i symboli religijnych, potwierdza rolę „nie-wypowiedzianego” nie tylko w życiu społecznym, ale również w odczuciach jednostkowych.

To najbardziej może znacząca książka lat ostatnich. Nie tylko dlatego, iż spełnia ona rzadko w naszej literaturze urzeczywistniany postulat mówienia pełnym głosem o sprawach trudnych i bolesnych. Jest ona bolesna i trudna również w aspekcie ontologicznym. Uświadamia bowiem, iż proces dojrzewania wiedzy nieuchronnie nie tyle ku uformowaniu, co ku zdeformowaniu osobowości. Powieść Józefa Łozińskiego kończy się ucieczką na świat pozabawiony znaczeń. Narrator wyznaje: „Cały ten smutek epoki przestał mnie cokolwiek obchodzić, był jedynie niemłym dysonansem w godzinie samoooczyszczenia się z tego przeraźliwego zwiotczenia bytu (...). Nikt w tym kraju nie był zmuszony do przekroczenia granicy królestwa fikcji i stało się to jego przekleństwem sięgającym po najdoskonalsze wytwory ducha. Był przekleństwem, a jednocześnie żył na lukratywnej posiadłości w Fabryce, wykładał, że jest jest łazarem systemu, a jednocześnie hodował w sobie wspaniałą niewinność, dłał w zgodzie z ideą wolności, a zarazem niszczył empiryczną świadomość paradoksalnie o przyczynowości świata. Mnie to już nie dotyczyło, byłam wyzwolony z umysłowych ograniczeń i niepojętej dwuznaczności...”. Mam wszelako wrażenie, iż narrator uległ jeszcze jednemu złudzeniu, jeszcze jednej fascynacji. Dla pisarza, którego dzieło stanowiło mała społeczeństwa swolisty wyrzut sumienia — nie ma po prostu ucieczki w szaleństwo, będące aktem woli. Unieszczenie znaczeń, zaprzeczenie własnego życia — nie wydaje się możliwe w przypadku Mariusza Paska, opętanego duchem polskości — polskości takiej, jaka jawi się nam dzisiaj: obolała na wszystkich stronach. Należy się zatem po nim spodziewać dalszych książek. Opętanie niechaj trwa.

Józef Łoziński: „Statek na Hel”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1988, s. 337, nakład 30 000+350 egz., cena zł 500,-

kład grafiki, którym kierował Tyrowicz, w roku następnym artysta został odwołany ze stanowiska dyrektora Liceum i pozbawiony możliwości wykładowania w uczelni.

Pełna rehabilitacja w 1957 roku była już jednak tylko moralnym zadośćuczynieniem. Ciągłe aktywny twórca artysta, także w ostatnim roku swego życia, spędzonym w sanatorium, nie może już powrócić na uczelnię, nie odnawia też swej działalności organizatorskiej. A przy tym fala twórców najmłodszego pokolenia na tyle głośno artykułuje swoją obecność w sztuce, że oglądanie się wstecz, jeżeli nie wiąże się bezpośrednio z o-wymi manifestacjami, zdaje się nie zaprzętać niczyjej uwagi.

Mimo upływu już parudziesięciu lat, nadal chyba unikamy pełnego wyjaśnienia tamtego o-

Opętanie

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

tora, jak i w otaczającym go świecie, rozdzielić niepodobna. Spłoty się w łańcuch, który pęta wolę, oślabia siły vitalne. Narrator, Mariusz Pasek, chce zatem znaleźć się po drugiej stronie Dobra i Zła („jenseits von Gut und Böse”), chce przebić się tam nie tyle piórem, co własnym życiem — niejako wzorem poety przekłętą, Rafała Wojaczka, odgrywanego w powieści rolę nie tylko symboliczną. Staje się uczestnikiem cyganerii artystycznej, rozpalać w sobie pasję poznawczą: czyta, dyskutuje, pisze, głowi się nad kształtem i sensem rzeczy-wistości, w jakiej — nie z własnego w końcu wyboru — się znalazł.

Ostry zmysł i umysł, by znaleźć, albo chociaż przybliżyć, odpowiedź na pytania podstawowe: „Dlaczego? Oto ścieżka umykająca z chaszczy literackiej fikcji, oto trop rzeczywistości pełnej znaków zapytania. W jaki sposób zderzyć z niej maskę? Jak dopaść tej jedynej prawdy, którą odłożono na czas nieograniczony? Jak wyzwać się z pojęcia Ojczyzny i Synocizny, która rozkłada Polskę na łopatki?” Przyniosłoby to zapewne „wyzwolenie od dzikiego zmeżenia polskiego ducha” miotającego się między niespełnieniami przeszłości a nieokreślonością

nika, poszarpały jego doznania, stłamsiły świadomość, aby w sposób bezdyskusyjny ukazały, iż w starciu z rzeczywistością pozostaje sam jeden. Zdrucgotac czytelnicyz opór — oto cel żywiołu tej prozy, rozbuchanej jak morze podczas sztormu. Bohater powieści przechadza się jego brzegiem zrealizowawszy po latach wyrzeczonych najszybsze marzenie: wyprawę na Hel. Ale przecież nie chodzi o dosłowność tego zamierzenia. Wyprawa na Hel staje się bowiem metaforą tego wszystkiego, czego w gruncie rzeczy wyrazić się nie da...

Wystawę urządzono w willi Biura Wystaw Artystycznych przy ulicy Wólczańskiej. „Obecna ekspozycja — zapowiedziano w katalogu — odświeża rozległy i zbliżony do pełnego obraz niezwykle bogatej twórczości artystycznej (grafika oryginalna, rysunki), działalności pedagogicznej, pisarskiej i organizacyjnej (dokumenty, czasopiśma, książki)”. Obszerny szkic poświęcony drodze życiowej Ludwika Tyrowicza także zamieszczony w katalogu uzupełnia ten starannie przygotowany pokaz, ale „nie pretenduje do wyczerpania tematu”.

Ludwik Tyrowicz należał do tych artystów, którzy nie burzą zastanego porządku sztuki, raczej go „ucieczają”, toteż trudno pominąć jego udział w budowaniu horyzontu sztuki od lat dwudziestych do pięćdziesiątych i to za-

Twórczość Ludwika Tyrowicza

równy w sensie artystycznym jak i organizatorskim. Przede wszystkim grafik, specjalista — jeżeli można tak powiedzieć — od typografii i grafiki książkowej zajmował się także krytyką artystyczną upowszechnianiem dokonań sztuki najnowszej, organizacją życia środowiska artystów plastyków: lwowskich przed wojną, łódzkich — po wyzwoleniu. W tym bowiem mieście osiadł przez pewien czas kierując Liceum Techniki Plastycznych i wykładowca w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych a także organizując Związek Polskich Artystów Plastyków.

Mimo to, zorganizowana w 1952 roku duża wystawa na 25-lecie twórczości okazała się właściwie jedynym gestem uznania jego artystycznych i organizatorskich dokonań. Prace Ludwika Tyrowicza wprawdzie można było spotkać na różnych wystawach zbiorowych, ale decydującą rolę w życiu artysty odegrały inne fakty. W tymże samym 1952 roku w PWSSP zlikwidowano za-

kresu. Nawet tak bardzo potrzebna monografia życia i twórczości Ludwika Tyrowicza nie wypełniła tej luki, tak jak nie wypełniła jej monografie wielu innych twórców, których życiorysy były podobne do sztuka w ogóle sytuacji się w szerzej rezultatach, nie zaś uwarunkowań.

Wystawa, do urządzania której pretekstem stała się 30 rocznica śmierci artysty i 60 rocznica jego pierwszej wystawy indywidualnej, jest nie tylko hołdem złożonym jego pamięci, lecz także okazją do ukazania około trzydziestoletniego okresu w sztuce polskiej, kiedy to rozciągano nowatorskie przyswajane były niejako przez powszechny język plastyczny i nadawały stylistyczne piętno dokonaniom z zakresu tak zwanej sztuki użytkowej.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

REWELACJE WYDAWNICZE

Wydawnictwa Normalizacyjne „ALFA” (!) zapowiadają w najbliższym czasie kilka rewelacyjnych tytułów wydawniczych, które po raz pierwszy ukazać się na polskim rynku księgarskim. Będą to m.in. „Folwark zwierzęcy” Orwella, „Mała Apokalipsa” Tadeusza Konwickiego, „Fatalne jaja” Michaiła Bułhakowa, „Piękni dwudziestolenni” Marka Hlaski oraz pierwszy podręcznik do nauki języka angielskiego dla dzieci od lat pięciu w formie... komiksów (cztery tomy plus osiem kaset będzie sprzedawane w formie subskrypcyjnej).

GDYBY NIE KONCERN BOSCHA, CZYLI O LITERATURZE

„Jedna strona reklamy w „Sternie” kosztuje dwieście tysięcy marek i mój wiedeński edytor „poskapił” tych pieniędzy — wyznaje Andrzej Szczypiorski we „Wprost”. — On ma bardzo nietypowe metody: najpierw wydrukował półtora tysiąca egzemplarzy książki i rozstał się do najmniejszych nawet księgarni na całym obszarze niemieckojęzycznym.

„Początek” wraz z butelką znakomitego wina wkładał do kosza mandarynek. Zamówienia posyłały się jak z rękawa. I faktycznie było taniej. Jednak zapewniam pana, że gdyby nawet wino było z zeszłego stulecia, a powieść nie nadawała się do czytania, nikt nie ryzykowałby jej kupna...” Dalej Andrzej Szczypiorski mówi o największym edytorze pisarzy polskich w języku niemieckim, jakim jest Karl Dedecus o raz o sytuacji polskiej książki.

„On jest chyba najbardziej kompetentnym facetem w tych sprawach. Kiedy z nim rozmawiałem powiedział mi, że gdyby nie spore dotacje elektrycznego koncernu Boscha, jego „Polska Biblioteka” dawno przestałaby się ukazywać... Najważniejszą przyczyną jest chyba szczególna ograniczona problematyka naszej literatury. Wynika to rzecz jasna ze specyfiki naszego losu historycznego... Gombrowicz z „pupy polskiej”, z hermetycznego „problemu polskości” uczynił ożrę do podboju świata. Ale żeby tak potraktować nasz prowincjonalizm, trzeba umieć się dostatecznie zdystansować, a ponadto dysponować takim talentem, jaki posiadał autor „Ferdynandus”. Jasne, oficjalna agenda państwa komunistycznego jest przez zachodnich wydawców traktowana tak, jak

na to zasługuje. Przecież nikt nie ukrywa, że agencja (autorska — dop. M.B.) promuje tych pisarzy, którzy na danym etapie są władzy wygodni. Przeważnie niewiele to ma wspólnego z poziomem tej „kochanej” literatury. Najlepiej wychodzą na tym ci, którzy na własną rękę zajmują się działalnością promocyjną swych książek. Państwowy mecenas bywa kapryśny, a przez to niezbyt wiarygodny. W kulturze musi istnieć jakieś normalne następstwo wydarzeń, jakaś ciągłość. Nie można poważnie traktować takiego postępowania, że raz się kogoś na siłę winduje, potem się go zwala z piedestału, zabrania o nim mówić, a później się go przeprasza i wszystko od nowa...”

WIELCY I MODA

Jakkolwiek wygląda, styl ubierania się wielkich ludzi, szefów państw nie decyduje o ich sukcesach zawodowych, politycznych to jednak — jak utrzymują znawcy — ma to ogromne znaczenie w odniesieniu sukcesów. Bo choć to prawda, że „nie strój świadczy o człowieku”, jednakże strój „z fasonem butów włącznie” bardzo wpływa na opinię o nim, a co dopiero polityka.

Prezydent Reagan, ponoc za-

chował swój styl z lat 50 tylko dlatego, że były to lata jego największych sukcesów uwodzieńskich, a ponieważ nie zamierza się starzeć, stąd też zachował swoje przyzwyczajenia i pozostał wierny linii modnej w jego wielkiej epoce. Zresztą Amerykanie przywiązują do tego znacznie mniejszą wagę niż np. Francuzi. Francois Mitterrand, będąc jeszcze kandydatem na prezydenta w wyborach z 1981 r. za namową swych doradców zmienił krawca, wybierając czołowego francuskiego mistrza igły — Jacquesa Séguella. We Francji nie występuje się na konferencji prasowej w stroju tenisowym. Były prezydent, Valéry Giscard d'Estaing, próbował tego, ale źle na tym wyszedł.

Przywódca Konga Sassou Nguesso, jest, zdaniem specjalistów, jednym z najlepiej ubranych przywódców w świecie. „Należy on z pewnością do tych, którzy spędzają najwięcej czasu przed lustrem. Nie traktuje tego jako zło konieczne; niemal wszyscy Kongijczycy mają opinię ludzi dobrze ubranych. Przywódca Konga jak i jego doradcy zaopatrują się podobno w kilku wielkich francuskich domach mody. (...) Przywódca Libii Muammar Kaddafi potrafi uczynić ze swego „look” jeden z czołowych czyn-

PESTKI DYNI

W związku z rocznicą dwóchsetlecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej przypadającej w tym roku — a ma to być jubel na dwadzieścia cztery albo pięć fajerek, szczególnie dla Paryża — mówi się dużo nie tylko o gilotynie, urządzeniu, które oddało wielkie, trudne do przecenienia usługi samej rewolucji, jej ideom i ludziom, w taki czy inny sposób, w nią zamieszany; Francuzi są ciekawi jak widzieli ich w nieodległej przeszłości, widzą obecnie i oceniają inne nacje. Jeśli idzie o samą gilotyne, to uczucia Francuzów nie są jednoznaczne — wciąż miesza się tu fascynacja z pewnym zażenowaniem, w różnych zresztą proporcjach... Co zaś do konterfektu, to mieli przecież — do cholery! — i Ludwika XIV i Napoleona i de Gaulle'a więc uważają, że coś im się chyba należy...! Tak, kompleks niedyszyjowej wielkości jest równie dokuczliwy jak Szwedzka drzazga w dupie, albo muchy obsyrujące Najjaśniejszego Pana... My coś na ten temat wiemy — wciąż snia się nam Jagiello ze swoim Grunwaldem, Batory pod Pskowem a przynajmniej Madagaskar...

Paryski „Le Point” w listopadzie zeszłego roku zebrał kilka opinii o dzisiejszej Francji i przeprowadził rodzaj ankiety o samych Francuzach. Na wstępie przypominał, że feldmarszałek Keitel podpisując w 1945 roku kapitulację III Rzeszy nie wytrzymał i zawołał — „Co? Francuzi też tu są?” — kiedy zobaczył ich przedstawiciela pośród Rosjan, Anglików i Amerykanów. Opinia tygodnika „Stern” o Francji wyraża się mniej więcej tak: — Odrażający kraj z ciagotami imperialistycznymi i kolonialistycznymi. Na domiar złego, kraj bez pieniędzy, każący płacić innym za swe prestiżowe wydatki, od Concorde po Airbusa. „Stern” nie jest osobobny...

Londyński profesor Douglas Johnson, specjalista od historii Francji, powiedział: „Francja kulturowo mit wielkiego narodu, podczas kiedy już dawno nim nie jest. Pocucie to wiąże się raczej z kompleksem de Gaulle'a, kompleksem chwały narodowej, niż Napoleona i podbojów militarnych”. Thumaczka w ONZ, Amerykanka Barbara Roder nie posiada się z oburzenia: „Francja przyznała swym byłym koloniom niepodległość, ale nie wypuściła ich z rąk”. Kiedy zaś umarł generał de Gaulle — przypomina (czy wypomina?) „Le Point” — żaden duński minister nie zjawił się z kondolencjami w ambasadzie francuskiej w Kopenhadze...

Hiszpania ma co prawda dostęp przez Pireneje do reszty Europy, ale sami Hiszpanie wydają się oczekiwać na jakąś okazję do draki tak, jakby rok 1808 ciągle im laził po głowie... czekają aż rolnicy z Langwedocji znowu poprzewracają ich ciężarówkę z nowalijkami, albo następny zwycięzca Tour de France narodowości hiszpańskiej znowu zostanie oskarżony o stosowanie dopingu, jak miało to miejsce z Pedro Delgado w roku ubiegłym.

A przeciętni obywatele? Amerykanie uważają, że Francuzi nie są wcale większymi szowinistami od Hiszpanów i Japonczyków. Sądzą, że cechuje ich większa ciekawość intelektualna niż inne narody, chociaż jest w tym spora doza snobizmu. Skandynawowie chwala sobie paryżanki, Skandynawki — Francuzów w ogóle... Włosi nie mają żadnych kompleksów. Podziwiają wielkich paryskich krawców, ale upierają się, że moda rzymska czy florencka jest równie — a może nawet bardziej — kobieca. Uważają też, że ich kuchnia „sana e santa” — „zdrowa i święta” — jest nie mniej wyszukana w swej prostocie od kuchni francuskiej. Podobą im się też powiedzenie Cocteau: „Francuzi to Włosi, którzy mają zły humor”. Hiszpanie nazywają Francuzów sknerami pozbawionymi fantazji... Brytyjczycy chwala sobie francuskie Bordeaux i szampany, obłady i kolacje... Z kilku miejsc w Europie Wschodniej ciągle spoglądają na Paryż cielecym wzrokiem...

A mnie podobają się tacy Francuzi jak Korsykański Napoleon, Apollinaire polskiego pochodzenia, Aznavour z Ormian, Picasso z Hiszpanów...

ANDRZEJ GRUN

Pierwszy w nowym, 1989 roku koncert Filharmonii Łódzkiej, który odbył się na początku stycznia poprzedził zasłużony polski dyrygent — Stefan Rachon, zaś solistami była para młodych wokalistów: sopranistka — Jolanta Zmurko i tenor Krzysztof Jakubowski. Stało się już tradycją, że w okresie karnawału co najmniej jeden koncert poświęca się muzyce Straussów, ze względu na humor, radość oraz szczyry liryzm zawarte w ich utworach. Wspomniany wieczór wypełniła w całości muzyka Straussów. W pierwszej jego części słuchaliśmy utworów najświeższego z wie-deńskich „dynastii” muzycznej, Jana Straussa-syna i jego młodszego brata, Józefa. Rozpoczęła ją uwertura do arcydzieła operki wiedeńskiej — straussowskiej „Zemsty nietoperza”. W zaprezen-towanej podczas koncertu interpretacji najbardziej sugestywne były liryczne fragmenty początkowe utworu. Znakomicie brzmiały: solowy epizod oboju oraz rytmika walca we fragmentach granych przez smyczki i pełną orkiestrę. Partytura tego dzieła zawiera wiele wartościowych fragmentów wokalnych stawiających przed wykonawcami du-że wymagania interpretacyjne. Para solistów za-prezentowała kilka z nich — Jolanta Zmurko wy-konała najpierw dwie arie z tej operki: czarda-sza Rozalindy z drugiego aktu i napisana w ry-tmie walca pierwsza arie Adeli z pierwszego aktu.

W pierwszym fragmencie wokalistka wykaza-ła się znakomitym temperamentem. Nie zabrakło w jej wykonaniu także liryzmu jaki zaprezen-to-wała w początkowym fragmencie utworu. W arii Adeli natomiast, młoda artystka udowodniła słu-chaczom znakomite opanowanie techniki koloratu-rowej. Z jej interpretacji emanowała swoboda i radość muzykowania.

W karnawałowym nastroju

Krzysztof Jakubowski wykonał dwie arie z mniej znanych operetek Jana Straussa — „Noc w Wenecji” i „Tysiąc i jedna noc”. Pierwsza z nich nacechowana jest szeroką melodią. Woka-lista zaprezentował w tej arii liryzm i ciepło swo-jego głosu. Fragmentem o zupełnie innym charak-terze jest druga aria. Utrzymująca w rytmie walca wymaga od śpiewaka temperamentu, radości życia, wymogów, którym solista ze wszech miar sprostał.

Do utworów Jana Straussa, których urok polega na dynamice i barwnej instrumentacji należy scherzo „Perpetuum mobile”. W interpretacji fil-harmoników łódzkich najbardziej interesująca była warstwa rytmiczna utworu. Podobnie sugestywne były humorystyczne epizody fagotu i fletu piccolo, czy ciekawie wykonane dwie polki: Jana Straussa — „Polka dla Anny” i Józefa Straussa — „Dzkojka polka”.

W drugiej części koncertu Stefan Rachon po-prrowadził utwory obu Straussów: syna i oca. Wy-konanie polki „Grzmoty i błyskawice” było do-prawdy urzekające — szczególnie brzmienie in-strumentów dętych drewnianych i perkusji. Piek-na pod względem artystycznym okazała się zapre-zentowana przez solistkę wizja walca „Od głosu wiosny”, w której Jolanta Zmurko ujawniła mi-strzostwo koloratury. Szczególnie wyraziste by-ło to słyszeć w ozdobnikach wokalnych. W dru-giej arii, Adeli z „Zemsty nietoperza”, śpiewaczka dała umysłowi słuchaczowi aktorskiemu i poczuć humoru.

Satysfakcjonujące słuchaczy były też duety z o-peretek: „Baron cygański” i „Zemsta nietoperza”. W pierwszym z wymienionych fragmentów para solistów celnie oddała klimat szeregów liryzmu. W „Ducie z zegarkiem” uwytkłono zacieśnię-komiczne śpiewańce pary. Równie popularnym ut-worem jest piana wspólnie przez Jana i Józefa Straussów „Polka-pizzicato”. W ustyżonej inter-pretacji pizziata śmyczków były precyzyjne rytmicznie, a orody wykonaniu nadawało delikatne brzmienie dzwonków.

Trudno nie wspomnieć o najsłabszym wciele-niu formy walca w muzyce Jana Straussa — „Walcu cesarskim”. W zaprezen-towanym słu-chaczom utworze szczególnie wyraziste zostały zaznaczone jego nianse dynamiczne. Karnawał-o-wy wieczór muzyki Straussów zakończył najwięk-szy „przebó” Jana Straussa-ojca „Marsz Redet-zy”ego”, w którym znakomicie brzmiała perkusia, podająca rytm utworu oraz instrumenty dete blaszane — najbardziej trabki.

Prowadzący pierwszy tegoroczny wieczór muzy-czny Stefan Rachon po mistrzowsku wydobyl z muzyki Straussów to, co dla niej najsłodsze: humor, siłę witalną i radość życia. Za to należała się zasłużonemu artyście słowa szczerzego uznania i wdzięczności.

PIOTR KUKIELKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ników polityki kontaktów z ludźmi. Bez wątpienia Kadafi ma w sobie coś z gwiazdora. Jest urodzo-nym artystą.

„Dla przywódcy radzieckiego Gorbaczowa, który jest bardzo dumny ze swej popularności wśród Europejczyków, elegancja jest czymś obowiązkowym; jego zdaniem jest to synonim nowo-czesności. O ile żona Gorbaczowa, pani Raisa uwielbia krawców fran-cuskich, o czym mówi otwarcie, to Michaił Gorbaczow ubiera się naj-częściej w Londynie, w salonie firmy Gieves and Hawkes...” („Forum” nr 50)

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJA

W Paryżu ukazała się książka „Najśmieszniejsze anegdoty histo-ryczne” (Les mots les plus drôles de l'histoire). Oto kilka próbek zamieszczonych w „Jeune Afri-que”.

Pewien filozof powiedział: Sta-rosć w życiu mężczyzny to o-ker, kiedy flirtując zapomina, po co to robi...

Sacha Guitry jadąc kiedyś me-trem usiadł naprzeciwko jakiejs panienki, która niby to przypad-kiem poprawiła spódnice, tak, że odsłoniła uda, ukazując długie, wspaniałe nogi. Prowokacja była oczywista. Sacha Guitry zapyał

uprzejmie: „Czy nie obrazi się pani, jeśli mimo wszystko nie zdejmę spodni?”

Agata Christie była znana ze swego optymizmu. W 1930 roku, po zawarciu drugiego małżeństwa z archeologiem Maxem Malowa-nem, lubiła mówić młodym dzie-cyom: „Zróbcie to co ja. Weźcie meża archeologa. Jest to jedyny człowiek na świecie, który będzie was hołubił tym bardziei, im bardziej będziecie się sta-rzeć...”

Z właściwym sobie humorem Winston Churchill oświadczył w 75 rocznicę swych urodzin: „Co do mnie, jestem gotów stanąć przed Stwórcą. Czy jednak Stwór-ca przygotował się już odpowied-nio do tej wielkiej próby?”

Zona Ben Guriona, premiera rządu izraelskiego w latach pię-dziesiątych i potem sześćdziesią-tych, uchodziła za osobę niewy-kształconą. Po otwarciu opery w Tel Awiwie zapytano ją: „Czy idzie pani na „Wesele Figara?”” Pani premierowa odpowiedziała na wszelki wypadek: „Nie, nie mam czasu, ale poślę mu jakiś prezent”.

W książce są też i takie prób-ki, jak rada starego mędrca fran-cuskiego Fontenelle'a: „Nie bierz życia na serio. I tak nie wyj-diesz z tego żywy...” („Forum” nr 1).

Wigilia, święto w naszej tradycji wyjątkowe, będące — jak napisał w wydanych niedawno „Felietonach pod choinkę” Stefan Kisielewski — oczywiście, nie tyle momentem na-pychania brzucha, co raczej „cza-sem skupienia, obrachunku z sa-mym sobą...”

Niepowtarzalny klimat Wigilii sprawia, że związane z tym dniem zwyczaj od dawna oddziałują na wyobraźnię twórców i artystów. Weźmy choćby łódzki Teatr Wielki.

Wigilie polskie

Ledwie pokazano tam okraszona cy-tatem popularnej koledy scenę wi-gilijną w wystawionym w grudniu musicalu „Błękitny Zamek”, a już wkrótce (5 stycznia) placówka ta zaprosiła do obejrzenia na kameral-nej scenie w Muzeum Historii Miasta Łodzi premiery „Wigilii pol-skich”. Taki tytuł nadany został in-teresującemu programowi muzycz-no-poetycko-gawędzarskiemu, opar-owanemu i przygotowanemu przez Barbarę Wachowicz, występującą też w roli narratorki. Autorka, ko-rzystając z rodzinnej poezji od Ko-chanowskiego do Baczyńskiego, za-pragnęła „zamyslić się nad losami tych, którzy byli obecni przy łania-niu się opłatkami polskim przez ła-ta niewoli i mroku, krzepiąc serca i budząc sumienia”.

Podstawowym atutem „Wigilii polskich” wydają się właśnie za-warte w scenariuszu patriotyczne treści i ich oddziaływanie na emo-cje. Motywy powstaniowe — he-roiczne i martyrologiczne, przepla-tające się z wątkami bołonarodzenio-wymi a niekiedy też (może nazbyt rozbudowanymi) osobistymi wspo-mnieniami pięknie władającej nieco archaizowaną polszczyzną narrato-rki, powodują niekłamane wzrusze-nia. Spośród wielkich „krzepiących

serca i budzących sumienia” Pola-ków, wyeksponowanych zostało trzech genialnych romantyków: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki i Fryderyk Chopin. W ich postaci wcielił się młodzi (studiujący za-cież w PWSFTViT), zarliwie po-dający tekst artysty — Artur Ur-bański (świetny m.in. monolog Ja-na Sobolewskiego z III cz. „Dzia-dów”), Jarosław Rabenda i Paweł Kowalski.

Spektakl bogato inkrustowany był muzyką. Rzecz jasna — przede wszystkim koledami, ale nie tylko. Pianista Bogusław Pikala niezwyk-le dramatycznie i ostro rozpocze-tym Preludium c-moll Chopina spointował opowieść Sobolewskiego. Grał też fragment Scherza h-moll a ponadto akompaniował w trakcie

śpiewu. Kilka najbardziej znanych koled wykonała sopranistka Delfi-na Ambroziak. Uczyniła to z dużą kulturą i subtelnością, powiedział-nawet, że niekiedy z dynami-cznym przerwaniem (częste su-bito pianissimo). Niektóre melodie — „Gdy się Chrystus rodzi”, „Gdy śliczna panna”, „Cicha noc” — ar-tystka śpiewała na tle chóru, co dało efekt ciekawy. Inne koledy niewielki chór pod dyr. Andrzeja Chmielewca odtworzył a cappella. Brzmienie zespołu na ogół nie bu-dziło zastrzeżeń. Najsłabiej wypad-ła „Jasna panna”: początkowy, zna-dujący się na górnej granicy skali głosów akord A-dur osiągnięty zo-stał brzydkim podjazdem, a i po-tem spoiście i intonacja trochę zawiady. Pierwszorzędny efekt dra-maturgiczny dało wejście do kole-dy „Oj, małuski, małuski” dwójka, obdarzonych klarownymi głoskami, dzieci.

Stanowił ów wieczór faktycznie „czas skupienia i obrachunku”, choć... i o potrawach była okazja pomy-sleć. I tu wątpliwość — czy aby na pewno państwo Mickiewiczowie mie-li ich na wigilii 12? Tradycja na-kazuje raczej nieparzystą liczbę po-traw, zaś parzysta liczbę osób sie-dzących przy stole.

JANUSZ JANYST



Bohaterowie „Wigilii polskich”: Artur Urbanicki — Mickiewicz, Jarosław Rabenda — Słowacki i Paweł Kowalski — Chopin.

Foto: Chwałostaw Zieliński

Kronika

JERZY KAWALEROWICZ — w ramach koprodukcji polsko-francuskiej — rozpoczął realizację nowego filmu, opartego na motywach powieści Juliusza Słowackiego „Jeniec Europy”. Książka opowiada o ostatnich latach życia Napoleona na wyspie św. Heleny.

Reżyser zamierza pokazać Bonapartego nie w roli zwycięzcy, ale jako człowieka załamane, odseparowanego od świata i złożonego ciężką chorobą.

Główną rolę zagra francuski aktor — Roland Blanche.

GŁÓWNA NAGRODA POETYCKA IM. MIKOŁAJA SEPJA-SACZYŃSKIEGO, przyznawaną co dwa lata przez redakcję dominikańskiego miesięcznika „W drodze”, otrzymała znana poetka — Wisława Szymborska (za tom wierszy „Ludzie na moście” — „Czytelnik 1989”).

LAUREATEM HONOROWEJ NAGRODY IM. JANA CYBISA w dziedzinie malarstwa za rok 1988 został Jerzy Panek.

W 1988 ROKU, podczas wykonywania obowiązków służbowych, zginęła na świecie 39 dziennikarzy (w 1987 — 32).

NA ZAPROSZENIE Centrum Sztuki Studio przybył ponownie do Polski światowy sławy skrzypek Jehudi Menuhin.

Tym razem, jako dyrygent, poprowadził 16 bm. w sal Filharmonii Narodowej koncert Orkiestry Simfonia Varsovia.

Na program koncertu złożyły się utwory Grażyny Bacewicz, Mozarta i Wagnera.

W WARSZAWIE ZOSTAŁO ZAREJESTROWANE Stowarzyszenie „Postęć i Demokracja”. Będzie ono miało zasięg ogólnopolski.

Głównym jego celem będzie upowszechnianie w środowiskach robotniczych i młodzieżowych wartości ideowo-politycznych polskiej lewicy, kształtowanie postaw obywatelskich i patriotycznych.

W przyszłości ma ono zamiar również podjąć działalność prasową i wydawniczą.

ŁÓDZKA WYTWÓRNI FILMÓW OSIWIATOWYCH realizuje film o Marianie Hemarze. Reżyseruje go Marian Kubera, który wraz z Marią Pakulową jest współautorem scenariusza. Zdjęcia kręcone będą w Anglii — gdzie wyemigrował i zmarł Hemar — oraz w Polsce.

W obrazie wykorzystane zostaną fragmenty spektaklu „Hemar”, wystawionego przez Teatr „Ateneum”, w reżyserii Wojciecha Młynarskiego. Władza Majewska, spadkobierczyni twórczości literackiej Hemara, udostępniła reżyserowi pozostałe po nim cenne pamiątki: rękopisy, fotografie, dokumenty.

WOJCIECH MŁYNARSKI wypowiedział się krytycznie o poziomie polskiego kabaretu: „Jest on na ogół na żenująco poziomie. Stał się nieartystyczny. Przeszedł całkowicie w słowo, w werbalizm, nie ma tego, co stanowiło o esencji i istocie kabaretu, pomysłowy poetyckich, pantomimicznych inscenizacji. Jeden lub dwoje ludzi gada bez końca, czyniąc białe i marne aluzje do naszej rzeczywistości. Mnie to śmiertelnie nuży. Kabaret powinien wrócić do swych źródeł, powinien przypomnieć sobie jak było za czasów „Bim Bomu” czy wcześniej „Piwnicy pod Baranami”.

W GALERII BAŁUCKIEJ (Stary Rynek 2) eksponuje swoje obrazy Henryk Wanek, zaś w Galerii Sztuki BWA (ul. Wólczańska 31) „Fotografie z notatnika osobistego” prezentuje Bronisław Schlabs.

REPORTAŻ MARIANA TERLECKIEGO „KSIĄDZ JERZY” (o księdzu Popiełusce) uzyskał Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Reportażu Telewizyjnym „Scoop '88” we Francji.

PEŁNOMETRAŻOWYM FILMEM „POŻEGNANIE JESIENI” (opartym na motywach słownych powieści Witkacego) zadebiutuje w Studiu im. Karola Irzykowskiego młody reżyser — Mariusz Treliński.

W WARSZAWSKIEJ „ZACHECIE” OTWARTO 14 BM. WYSTAWĘ FOTOGRAFÓW WYBITNYCH LUDZI utrwalonych w kadry przez amerykańskiego fotografa polskiego pochodzenia Czesława Czaplńskiego (niegdyś mieszkańca Łodzi, obecnie Nowego Jorku). Zachęcamy gorąco do spotkania „twarzą w twarz” z takimi znakomitościami z różnych dziedzin życia, jak Liza Minelli, Ryszard Kapuściński, Wojciech Fibak, Krzysztof Penderecki, Andrzej Wajda, Zbigniew Brzezinski.

SEKRETARIAT CK SD powołał na stanowisko redaktora naczelnego „Epoki Literackiej” Cezarego Leżniewskiego.

ANDRZEJ WAJDA zamierza nakręcić film o Januszu Korczaku — wg scenariusza Agnieszki Holland.

Opracował: JAK

Dalszy ciąg „Dzieci Arbatu”

(3)

Pamięta, jak przyprowadził do domu Kamo, zostawił go, a sam wyszedł. Kamo przez cały wieczór zabawiał Allilujewów swoimi opowieściami. ON wiedział, że opowieści Kamo dotyczą również JEGO osoby.

Po roku, już w osiemnastym, ożenił się z nią. I od razu zabrał z sobą do Carycyna. Potem jednak odesłał do Moskwy i nigdy więcej nie zabierał w swoje podróże.

Kiedy właściwie zaczęły się między nimi niesnaski? Nie umię tego dokładnie powiedzieć.

Chyba od razu po urodzeniu Swietłany. Nadia zabrała wtedy Wasię i małą Swietłanę, i wyjechała do Leningradu do rodziców, oznajmiając, że już nigdy nie wróci. Nazwała go grubianinem, chamem. Nikomu nie wybaczyłby takich słów, a jej wybaczył: kobieta świeżo po porodzie, one wtedy są podobno bardzo nerwowe, charakterystyczny dla kobiecej natury element hysterii uakty-

odebrać Pawłowi przepustkę na Kreml. To za mało, stanowczo za mało! Pomyślał o Pawle z nienawiścią. Trzeba go surowo ukarać. Niech wie!

Teraz ON już się nie ożeni. Naród go zrozumie. Utracił ukochaną żonę, nie chce innej — tak to rozumie naród. Jest dobrym ojcem, nie chce macochy dla swoich dzieci — tak to rozumie naród. ON nie chce macochy dla swoich dzieci — nowe komplikacje, nowe scysje, nowa rodzina. A jaka ona będzie, ta rodzina? Samotność jeszcze bardziej podkreśli JEGO prostotę, która tak imponuje i podoba się narodowi. ON nie ma nikogo, kto by się o NIEGO zatroszczył...

Na JEGO temat nie krąży żadne plotki, co do tego organa GO nie okłamują, w tej kwestii ON jest bezwzględnie surowy i wymagający. ON nie daje powodów do plotek.

ON rzadko występuje publicznie, nie jeździ do fabryk i zakładów, nie bierze udziału w wiecach, pojawia się jedynie

Brat pierwszej żony Stalina, Jekatieriny Siemionowny Swanidze, starszy bolszewik Aleksander Siemionowicz (Alosza) Swanidze został aresztowany w 1937 roku i po pięciu latach — w 1942 roku — rozstrzelany.

Przed egzekucją poinformowano go, że jeśli poprosi towarzysza Stalina o ulaskawienie, to zostanie ulaskawiony.

— O co mam go prosić? Przecież nie popełniłem żadnego przestępstwa — odpowiedział Swanidze.

I rozstrzelano go.

Gdy doniesiono o tym towarzyszowi Stalinowi, towarzysz Stalin powiedział:

— Patrzcie go, jaki dumny, umarł, a o taskę nie poprosił.

W tym samym — 1942 roku — w łagrze w Kazachstanie zginęła jego żona Maria Anisimowna.

Ich syn Dżonik (Iwan Aleksandrowicz) siedział w więzieniu z kryminalistami, został zwolniony dopiero w 1956 roku.

Siostra pierwszej żony Stali-

ANATOLIJ RYBAKOW

Trzydziesty piąty i dalsze lata

Księga I. Fragmenty



wnia się w takich okolicznościach ze szczególną siłą.

Przebaczył jej zadzwonił do Leningradu, prosił, żeby wróciła, chciał nawet pojechać po nią osobiście. Odpowiedziała z ironią: „Twój przyjazd będzie zbyt drogo kosztować państwo” i wróciła sama.

Co miała na myśli? „Twój przyjazd będzie zbyt drogo kosztować państwo”. Doszedł wtedy do wniosku, że to tylko jej zwykła ironia, babska zgrzyliwość. Teraz rozumie prawdziwy sens tych słów. Jego przyjazd do Leningradu po XIV Zjeździe, w kilka miesięcy po rozgromieniu ziniwowoskiej opozycji nikomu nie jest potrzebny, może być niewłaściwie zinterpretowany.

To Kirow namówił ją wtedy do powrotu, to Kirow nie chciał JEGO przyjazdu do Leningradu, wówczas jeszcze nie chciał. To tam zrodziła się ta ich czuła przyjaźń.

Na parę dni przed śmiercią oznajmiła mu, że gdy tylko ukończy studia wyjedzie do Charkowa, do Redensów i będzie tam pracować.

Doniesiono mu też o jej rozmowie z nianką Swietłany: „Mam wszystkiego dość, wszystko mi obrzydło, nie mam nic cięsz” — mówiła do nianki. Co to znaczy „nic”? A dzieci?

Wszystko robiła na złość JEMU.

Wiedziała przecież, że ON nie znośi perfum. uważa, że kobieta powinna pachnieć wyłącznie świeżością i czystością. I mimo to perfumowała się, specjalnie się perfumowała, w dodatku zagranicznymi perfumami przywoził je jej braci-szek Paweł, na złość JEMU nosiła zagraniczne suknie, które przywoził także Paweł oraz drożdzy, nieocenieni Swanidze. Siedzi na uczelni między zwyczajnymi ludźmi radzieckimi i pachnie zagranicznymi perfumami. JEGO żona! Coś takiego!

Po co Paweł podarował jej pistolet? Po co kobiecie pistolet? Komu przyszkolby do głowy dawać kolecie w prezencie pistolet? Czy aby nie chciał w ten sposób podsunąć jej myśl o zabiciu JEGO? Po tym co się stało, ON kazał

w wyjątkowych sytuacjach, na zjazdach, na plenach, w zwiększonych pozdrowieniach na łamach prasy. Każde JEGO wystąpienie powinno być wydarzeniem, każde JEGO słowo powinno mieć swoją wagę. Ma rację Puszkin:

Milczący bądź — głos carski nie powinien na próżno się rozpraszać po powietrzu; jak święty dzwon powinien bądź wielkie święto, bądź wielki ból.)

Jak to powiedziane!

Trzeba sprawdzić jak postępują przygotowania obchodów setnej rocznicy śmierci Puszkina. Oczywiście twórczość Puszkina zawiera wiele rzeczy wręcz nie do przyjęcia, ale to, co jest nie do przyjęcia, skieruje się przeciwko ówczesnemu carowi. Oczywiście twórczość Puszkina zawiera wiele rzeczy wręcz nie do przyjęcia, ale to, co jest nie do przyjęcia, skieruje się przeciwko ówczesnemu carowi. Oczywiście twórczość Puszkina zawiera wiele rzeczy wręcz nie do przyjęcia, ale to, co jest nie do przyjęcia, skieruje się przeciwko ówczesnemu carowi.

Przecież to Puszkin uniemożliwił Piłsuckiego. „Jeżdżcie, miedziarzy”, „Połtawa”, „Murzyn Piotra Wielkiego”. Tak, kiedy było trzeba, Puszkin opiewał i aktualną władzę, bronił jej polityki zagranicznej.

Szkoda, że w JEGO epoce nie ma poety tej miary co Puszkin.

A właściwie dlaczego szkoda? Przeciwnie, przecież to reguła: za rządów wielkich władców nie ma wielkich poetów. Jacy wielcy poeci tworzyli za Aleksandra Macedońskiego, Czyniz-Chana, Napoleona Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego? I odwrotnie: Homer, Goethe, Szekspir, Puszkin, Tolstoj — przy jakich władcach pisali? Kto dziś pamięta tych władców? Wielki poeta rości sobie pretensje do roli duchowego przywódcy narodu. Wielki władca sam jest duchowym przywódcą narodu, i żadnego innego duchowego przywódcy narodu oprócz niego być nie może.

Ale wszystko to tylko tak na marginesie... Myśl zaczyna gubić watek... To niedobrze, trzeba umieć się koncentrować... Tak... Teraz już się nie ożeni.

na, Mariko, została aresztowana w 1937 roku, i w krótkim czasie zginęła w więzieniu.

Annie Siergiejewnej Allilujewej, siostrze drugiej żony Stalina Nadzieży Siergiejewny Allilujewej aresztowanej w 1948 roku i skazano na dziesięć lat więzienia. Odsiadywała wyrok w pojedynczej celi więzienia we Władymirze, wyszła na wolność dopiero po śmierci Stalina. Jej męża, Stanisława Redensę, rozstrzelano w 1938 roku.

Paweł Allilujew, brat żony Stalina, służył w dowództwie wojsk pancernych, usiłował bronić niewinnie represjonowanych współpracowników, w związku z czym Stalin przestał go przyjmować. W 1938 roku Paweł zmarł nagle w wieku czterdziestu czterech lat.

Jego żonę Jewgienię Aleksandrowną Allilujewą aresztowano 10 grudnia 1947 roku i skazano na dziesięć lat więzienia. Zwolniona 2 kwietnia 1954 roku, po powrocie do domu powiedziała synowi: „A jednak swagier nas uwolnił!” Nie wiedziała, że Stalin nie żyje już od roku.

Kirę Pawłownę Allilujewą, córkę Pawła i Jewgieni, aresztowano w 1948 roku i zwolniono po śmierci Stalina.

Syn Stalina z pierwszego małżeństwa, Jakow, latem 1941 roku dostał się do niewoli niemieckiej, zachowywał się mężnie i zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach w 1943 roku.

Jego żonę Julinę aresztowano w Moskwie jesienią 1941 roku i zwolniono wkrótce po śmierci Jakowa.

C.D.N.

Tłumaczył:
MICHAŁ B.
JAGIELLO

1) Aleksander Puszkin, „Borys Godunow”. Przekład S. Pollaka.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pisarz i publicysta — Lew Razgonow spotkał w szpitalu emerytowanego czekistę, z którym odbył interesującą rozmowę. Jej — jak twierdzi — wierny zapis opublikował w „Moskowskich Nowostach”. Jest to dokument naszych czasów. Nie minionych, a właśnie naszych, bowiem wśród nas żyją również i ci, którzy zamysłali, sądzili bez sądu, skazywali i wykonywali wyroki bez wyroków. Są nieodłączną częścią społeczeństwa. Jak się czują, co myślą? Lew Razgonow próbuje odpowiedzieć na te pytania. Ten dokument trzeba znać! Tym bardziej, że jego autor przez 17 lat przebywał w łagrach i więzieniach jako „wrogi ludu”.

Listopad 1977 r. Instytut Kardiologii w Zaułku Pietrowieckim w Moskwie. Razem ze mną na sali — Grigoriy Nijazow. Jest ruchliwy, aktywny, towarzyski. Jego oczy od razu widzą wszystko, słuch ma taki, że wśród jednostajnego szumu na korytarzu potrafi usłyszeć treść rozmów. Było w Nijazowie także coś mrocznego, smutnego, wywołującego rozdrażnienie. Przede wszystkim jego niewiarygodne umiowanie samego siebie, swego ciała, swego zdrowia. Zamęczał lekarzy, żądając, by wyleczyli go „na dobre”, ciągle podejrzewał ich o to, że coś zrobili mu nie tak, że czegoś nie dali.

Mnie i Nijazowowi pozwolono chodzić nieomal w tym samym czasie. Ucieszyłem się z tego, ponieważ była w Nijazowie jakaś zagadka, dręcząca mnie od czasu, gdy on przyłapał naszą doktora na tym, że nie zrobiono mu jakiegos badania dumnie powiedział: „Przedemną nic się nie ukryje! Mam oko czekisty!”

Za pierwszym razem, gdy wraz z Nijazowem wyszliśmy na dwór i spacerowaliśmy w kółko, zapytałem go:

— To znaczy, Grigoriu Iwanowiczu, byłeś czekistą? Gdzie?
— Tak, byłem czekistą. W Omsku.
— Dozorczą więziennym?
— Tak, w więzieniu omskim, najpierw w takim zwykłym, a potem wewnątrzinnym.
— A jak tam trafiałeś?

I usłyszałem historię o tym, jak Grigoriy Iwanowicz Nijazow został czekistą. Jego rodzina prowadziła bezgranicznie biedny żywot — jego matka — praczka miała jedenaścioro dzieci. Uciec był stróżem. Moją towarzyszką szpitalną rości na silnego i niedobrego chłopaka. Uczyć się nie chciał, matka z trudem doprowadziła go do 7 klasy. Po skończeniu 7 klas Nijazow — jak powiedział — „poszedł na wycieczkę — trzeba było pomagać...”. Został włóczęgą oznaczając u Nijazowa zostać złodziejem. Został drobnym złodziejaszkiem, działającym na bazarach i w sklepach. Do zawodowych szajek złodziei nie wchodził — był ostrożny. Wolał działać samodzielnie.

Grigoriy Nijazow był przeorny i wiedział, że trzeba skończyć z działalnością złodziejską, jak tylko przestanie być wyrostkiem, jak tylko zacznie się nim zajmować nie milicyjna „izba dziecka”, lecz groźniejsza instytucja. W odpowiednim czasie, kiedy milicja zaczęła mu „złatwiać pracę”, poszedł do fabryki. Stał przy maszynie było mu nudno. Najpierw nosił ciężary, potem został dozorcą, zyskał zaufanie komendanta i doczekał się swego — w 1935 r. dostrzegł go czyjeś bystre oczy i zabrano go. Tak Nijazow został młodszym dozorcą w omskim więzieniu miejskim. Widocznie miał w sobie coś, co zyskiwało mu zaufanie szefów i dlatego też w ciągu pół roku został starszym dozorcą więziennym. A potem — szczególnie wyraz zaufania: przeniesiono go z więzienia miejskiego do wewnątrzinnego. I tak było do 1937 r., kiedy to Nijazowa — nawet bez pytania — przeniesiono do „obietu specjalnego”. Znajdował się on na trasie kolei między Chabarowskiem i Władymostkiem. Było to miejsce, do którego przywożono na rozstrzelanie ludzi skazanych z dużych miast i ośrodków rejonowych.

Zapamiętałem i nigdy nie zapomnę ani jednego słowa Grigoriya Nijazowa z jego odpowiedzi na moje pytania. Lepiej podam ten stenograficzny zapis, za którego dokładność jestem gotów odpowiadać przed wszystkimi ludźmi i własnym sumieniem.

— To był niezbyt duży obóz — na 200—250 osób. Czasami jednak przywożili wielu więźniów jednocześnie, tak że dochodziło i do 300. Nawet dawną stołową przerobiono na barak, zbudowano przyce. Jednakże szczególnie ciasnoty nie było, przywożono tam tylko na 2—3 dni. Poza tym nie był to jedyny „obiet specjalny”.

Słowo „obiet” Grigoriy wymawiał twardo i z godnością, w tym słowie zawierało się coś dla niego znaczącego.

— A jaka była twoja praca?

— Zwyczajna. Dziurkowało się dobie, dzień. W dzień wyjeżdżało się samochodem na stację, na pociąg. Zabierało się więźniów, przywoziło, potem rozprowadzało po celach, eskortowało się obsług, kiedy nosiła kocioł z łurą, stało się u koryta, kiedy rozdawano jedzenie — zwykła praca.

— A kto ich rozstrzeliwał? Czy to byli specjaliści?

— Skąd, nie było żadnych specjalnych ludzi. Myśmy rozstrzeliwali.

Spotkanie z tym, który rozstrzeliwał.

Nigdy o tym nie myślę

— Jak?

— No jak? Rano zdawało się dyżur nowej zmianie, szło na wartownię, brało się karabin, tam nam dawali po szklance wódki, potem brało się listy i ze starszym szło po celach, wyprowadzało i do samochodów.

— Jakich samochodów?

— Odkrytych. W każdym samochodzie ich po sześciu i czterech naszych.

— Czy wiedzieli, dokąd się ich wiezie? Odczytywano im wyroki?

— Nie, żadnych wyroków nie odczytywano, nie nie mówiono, tylko: „Wychodź, naprzód przed siebie, do samochodu!”

— A jak się zachowywali w samochodzie?

— Mężczyźni, ci milczeli. A kobiety zaczynały płakać, mówiły: „Oj, co wy robicie, przecież my nie niewinne towarzysze, co wy robicie” — i takie tam inne...

— Daleko ich wywoziliście?

— Ze 12 km na wzgórze — „Bezludne wzgórza” nazywano się. Ale tam dookoła wzgórz, a pośrodku ich wysadzaliśmy.

— A więc wysadzaliście ich i odczytywaliście wyrok?

— Co im odczytywać? Krzyczeliśmy: „Wychodź! Stać!” — wychodzą, a przed nimi już wykopany dół. Wyszli, tułają się do siebie, a my od razu po nich...

— Milczeli?

— Niektórzy milczeli, niektórzy zaczęli krzyczeć: przecież my komuniści, ginimy niewinnie i takie tam. A kobiety tylko płakały i tuliły się do siebie. A my ich od razu...

— A lekarz z wami był?

— A po co? Strzelaliśmy, kto się ruszał — dobijaliśmy i do samochodu. A z boku już czekała brygada.

— Co za brygada?

— U nas w strefie specjalnej mieszkała brygada „urkow” z obozu. Oni obsługiwali więźniów, a poza tym do nich należało kopanie i zasypywanie dołów. My odjeżdżaliśmy, a oni wrzucali do dołów, zakopywali i wykopywali doł na następny dzień. Lekcja skończona — do strefy. Zapisywano im punkty i dobrze ich karmiono, a i robota nieciężka — nie karczowanie lasu.

— A wy?

— My wracaliśmy do obozu, zdawaliśmy broń na wartownię i piliśmy — bezpłatnie — ile chcieliśmy. Inni dużo — ciągnęli darmowe, ale ja zawsze wypijałem jedną szklankę, schodziłem na stołową, jadłem coś gorącego — i do koszar spać.

— A dobrze spałeś? Nie było ci strasznie?

— Co miało być strasznie?

— No, że tylko co zabiłeś ludzi. Nie było ci żal?

— Nie, nie było mi żal. Nie myślałem o tym. Spałem dobrze, w dzień się spacerowało, są tam piękne miejsca. Trochę smutno, oczywiście bab nie było.

— A żonaci wśród was byli?

— Nie, z żonami nie brali.

— Grigoriu Iwanowiczu, a wiedziałeś, że ludzie, których rozstrzeliwali, byli niewinni?

— Wtedy o tym nie myślałem. Potem — tak. Wzywano nas do prokuratorów, wypytawano, tłumaczono, że oni byli niewinni, że były błędy i te... wypaczenia. Jednak powiedziano nam, że my nie mamy z tym nic wspólnego, że niczemu nie jesteśmy winni.

— No dobrze, kazano wam, więc strzelaliście. Jednak dowiedzieliście się, że zabijaliście mężczyzn i kobiety, którzy niczemu nie byli winni, czy potem sumienie cię nie męczyło?

— Sumienie? Nie, nie męczyło mnie. Nigdy tego nie wspominam i nie myślę o tym, a kiedy nawet i wspominam — nie, w ogóle, w ogóle, jakby niczego nie było. Ja, wiesz, teraz stałem się taki lotosiowy. Patrzę — jakiś staruszek się męczy, to mi tak się go robi żal, czasami mogę zapłakać. A tych — nie, nie żal mi. W ogóle nie żal, jakby ich nie było...

Po tych „obietkach” nie nie pozostało: ani strasznych muzeów, jak w Oświęcimiu czy Mauthausen; ani pomnika ofiar jak w Katyniu, Salaspilis czy Lidicach. Tysiące, tysiące bezimiennych mogił; osady, zarosły młodym lasem, krzakami i gęstą trawą.

A ci, którzy rozstrzeliwali? Jeszcze żyją. Rozstrzeliwujących nie ma. Jeszcze więcej tych, którzy na odludne wzgórza, czy w inne miejsce egzekucji nigdy nie jeździli: nie z 7-klasowym wykształceniem, ale z wyższym „humanistycznym”. To ci, którzy pisali pisma, podpisywali się pod słowami „sądziłem”, „uzgodniono”, „zaświadczam”, „skazać”. Ci, którzy dożyli naszych czasów, są na emeryturze, siedzą na skwerkach, podziwiają bawiące się dzieci, chodzą na koncerty. Spotykamy ich na zebraniach, w gościach, za świątecznym stołem w wspólnych znajomych. Są przecież w moim wieku i jeszcze młodzi. Między innymi ja. Jakiego doznałem w szpitalu po opowiadaniach Nijazowa. Ze zgrozą myślę, że nie odczuwam żadnej nienawiści w stosunku do Nijazowa. Nie jest on ani lepszy, ani gorszy od tych innych...

LEW RAZGONOW

(„Moskowskie Nowosti”
nr 48 z 1988 r.)

Tłumaczyła:
BARBARA MADANOWSKA

— Czołem! — powiedział sekretarz wojewódzki.
— Cześć — odparł flegmatycznie szef. — Siadaj.
— Dasz coś wypić?
— Nie. — Zerknął na gazetę z podobizną Andrzeja.
— Suszy mnie strasznie po tej wczorajszej konferencji.
— Szef był ludzkim człowiekiem, więc nastąpiła zmiana programu.
— Hanka! — wrzasnął, a kiedy w drzwiach ukazała się utleniona głowa zausznicy, rozkazał: — Przynieś flaszkę i dwie herbaty.
— I coś na ząb? — zapytała poufale Hanka.
— Może być — Po czym szef zaatakował niezwłocznie sekretarza: — W tym powiecie jest okropny burdel! — Podniósł pięść i grzmotnął Andrzeja w twarz. — Musimy odzłamać to bagno.
— I to z miejsca — zabasował sekretarz. — Trzeba zrobić gruntowną czystkę, bo jak nie, to nam wypomną, że tolerujemy ciemnotę.
— I szachrajstwo.
— Tak jest!
— A co z tym chujkiem? — Kciuk szefa spoczął na nosie Andrzeja i zaczął go lekko pompować.
— Prowadzi Wydział Listów i Skarg.
— Może wziąć go do nas?
— Kapitałny pomysł, Janku! Kapitałny! Bęc! — Bach!

Wypili i zakąsili. W tydzień później Andrzej ścignął do wielkiego wojewódzkiego miasta i otrzymał w potężnym wojewódzkim Komitecie stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Spraw Administracyjnych. Nie trzeba dodawać, że chapał również służbowe mieszkanie z garażem i telefonem. Ech, życie! Był zażenowany, gdyż na ulicach kłaniali mu się w pas powszechnie znani ludzie: artyści, pisarze i profesory wyższych uczelni. Niebawem zasiadł w egzekutywie. Redaktor, któremu zawdzięczał swój błyskotliwy awans, napisał o Andrzeju dwa dalsze artykuły i zaprzyjaźnił się z nim. Wkrótce nauczył go pić, mataczyć i lawirować, przed czym Andrzej bronił się rozpaczliwie, ale bez skutku.

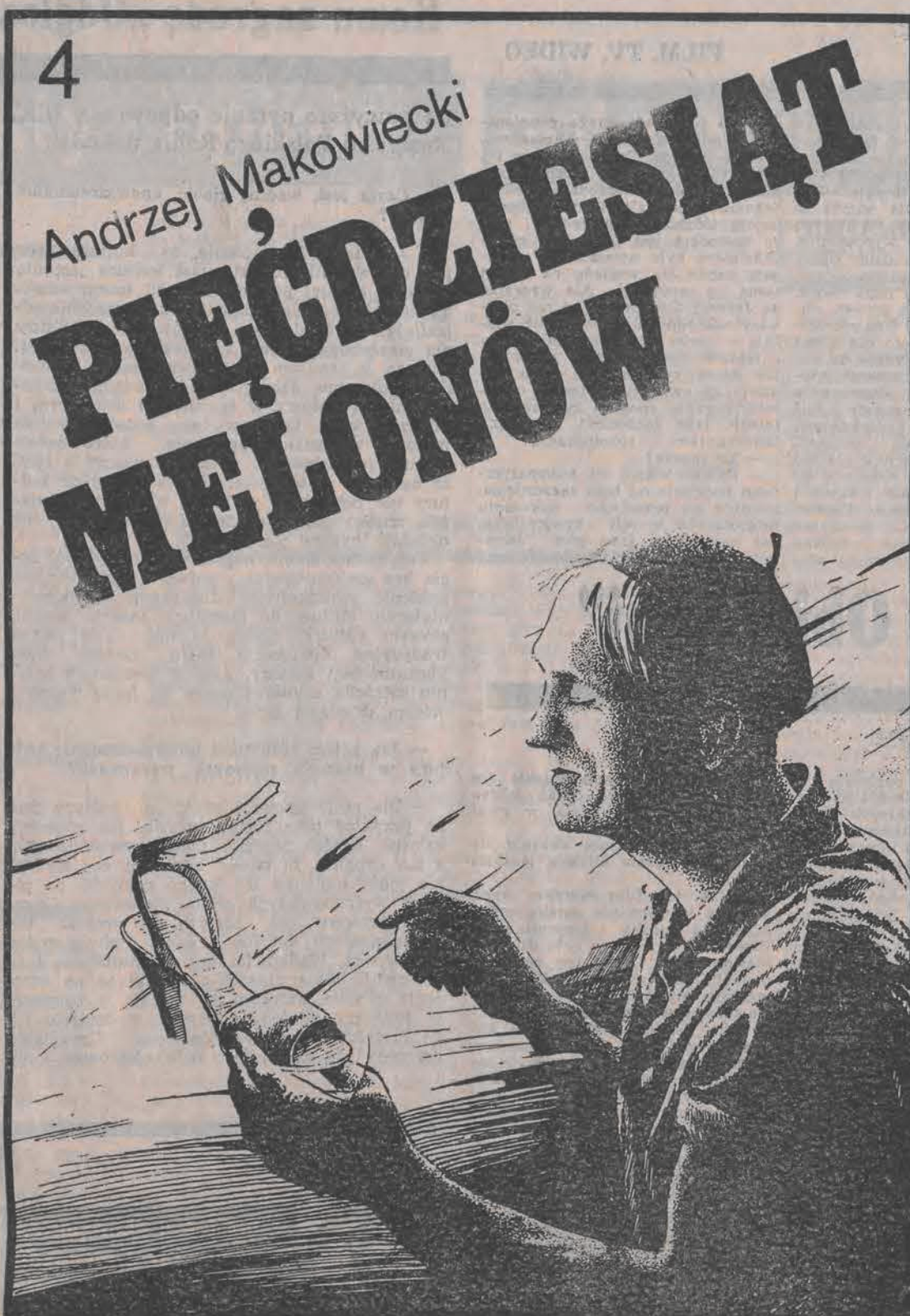
Wiedli ze sobą długie rozmowy i Andrzej, wprowadzający do przeliku kolejną porcję wódki, bełkotał głosem pełnym zgrozy i przerażenia:

— Patrz! Już od dobrych kilku lat jestem działaczem partyjnym, a w gruncie rzeczy niczego nie dokonałem. Walczyłem o gminę, lecz nie zmieniło się tam ani na jotę — drogi w dalszym ciągu toną w błocie, w szkole był niedawno pożar, nauczyciele po staremu mieszkają w czworakach. To samo w powiecie. Żeby przynajmniej jedna z ruszonych przeze mnie spraw została załatwiona, żeby ktoś dostał sprawiedliwie mieszkanie, żeby w szpitalu przybyło jedno łóżko, żeby wykopali skurwysyna dyrektora, który ma teścia w Ka Ce i beżkarnie wywozi z tartaku lewe ładunki drewna

— Ważne, że ty idziesz w górę — pocieszał go redaktor.
— Ale, dlaczego, na miłość boską?! Dlaczego? —
— Bo dobrze gadasz.
— Z tego gadania nic, kompletnie nic nie wynika!
— Wynika.
— Co?
— Twoja kariera.
— Przecież to jest kariera werbalna!
— Nie szkodzi. W Polsce nastał czas dla karier werbalnych. Wiesz, co pewien sekretarz powiedział robotnikom, którzy zarzucali mu, że ma trochę za dużo pieniędzy, za dużo samochodów i dwie luksusowe wille w dwóch różnych uroczyskach kraju? On im powiedział: — Wy nie patrzcie, co ja robię; wy słuchajcie, co ja mówię!
— Straszne!
— A mnie się podoba. Inny zagrożony cwaniczkę, którego mieli już zdjąć, rąbnąć przed kamerami telewizji: — Szczerze wam powiem, towarzysze, że nie ma na świecie lepszego kumunisty niż Leonid Breżniew.

— I wybronił się?
— Jasne. Jego oświadczenie wzbudziło antyzjzm w ambasadzie radzieckiej.
— Chwilami mam ochotę odejść z Komitetu.
— Ani się waż! Nie zapominaj o mnie, jeszcze ja się tu liczę, kochany. Jedziemy na tym samym wozie. Za miesiąc będzie w Warszawie narada aktywno wojewódzkiego z udziałem Gierka. Wystąpisz. Razem przygotujemy spicz. Wypierzemy go z wszelkich inteligentnych zwrotów tak, żeby był zrozumiały nawet dla dziecka. Zapewniam cię, że nazajutrz odnotują to wszystkie centralne gazety. Włożysz ciemny garnitur, białą niebażyt szykowną koszulę i gładki krawat. Przedtem pójdziesz do fryzjera i skróciś włosy. Żadnych fal, żadnych baków. Musisz wyglądać jak partyjny asceta.
— I kogo mam atakować?
— Jaska.
— Zwariowałaś?
— Spokojnie. Mam na niego tegie haczyśko.

Chłopcy zamieszkali w hotelu Komitetu Centralnego przy Nowym Świecie. Jest tam kawiarnia. W kawiarni Andrzej spotkał się twarzą w twarz z adiunktem Ciuryłło. Adiunkt Ciuryłło wykładał na Uniwersytecie Łódzkim prawo rzymskie będąc równocześnie pierwszym sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. Jedno oko miał zmrużone, w drugim oku adiunkta Ciuryłły błysnął chochlik. To on przyjmował kiedyś Andrzeja do partii, ale Andrzej nosił wtedy inne nazwisko. Widocznie jednak i nowe nazwisko Andrzeja było adiunktom znane, gdyż powiedział:
— Słyszalem, że macie jutro zabrać głos.
— Tak — przytaknął Andrzej.
— A, to gratuluje, gratuluje! — I adiunkt Ciuryłło odpytnął wdzięcznym krokiem dobrze maskującego się pedała w mrok kawiarenki. Tylko raz odmiął się księżyc złoty i oto Andrzej zasiadł w prostej, skromnej sali, znanej dobrze dzięki transmisjom telewizyjnym ogółowi Polaków. W przerwie podszedł do



przewodniczącego narady, przedstawił się i zapytał o kolejność swego wystąpienia. Przewodniczący nie spojrzał nawet w kartkę, zapuścił natomiast sępi wzrok w głąb duszy Andrzeja i odparł krótko:

— Nie wystąpić.
— Dlaczego?
— Dowiecie się w odpowiednim czasie od przelożonych.
— Musiałoby być jakieś nieporozumienie — napierał Andrzej.
— Tu się zgadzamy! — rzekł z akcentem przewodniczący. — Nieporozumienie polega na tym, że w ogóle w tej sali jesteście.
— W takim razie są dwa nieporozumienia — odciął się Andrzej. — Wy również powinniście zasiadać w innej sali.

Chciał porozmawiać z przyjacielem — redaktorem, ten jednak uciekł przystojnie. Zaczęli więc sekretarza.

— Słuchajcie no — osadził go sekretarz — jeśli wam się zdaje, że ja mam ochotę bajdurzyć o głupstwach, kiedy wokół dzieją się rzeczy wiekopomne, to jesteście w błędzie.

— Proszę mi tylko powiedzieć...
— Nic wam nie powiem! — syknął rozwścieczony działacz. — Zostawcie mnie natychmiast w spokoju!

Tak się skończyła krótka, oszłamiająca kariera Andrzeja W. Opuścił naradę i jeszcze tego samego wieczoru wrócił do wielkiego, wojewódzkiego miasta. Nazajutrz zrezygnował z funkcji zastępcy kierownika Wydziału Spraw Administracyjnych. Koledzy i przyjaciele strnili od niego, jakby był nosicielem choroby, która dopiero później miała rzucić przerażony świat na kolana. Cień popełnionego przed laty na ukochanej morderstwa dalej biegał za Andrzejem przez życie. Czuł gorzkość. Nurzał się w rozpacz. Było mu czegoś żal. Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny podpowiadał, że dobrze się stało, że jest wolny, że nie musi niczego udawać i nikogo atakować.

Mylił się ten, kto sądził, że partia zostawiła swoich zgranych czy też skompromitowanych towarzyszy na lodzie. Jeśli pracował w Komitecie na odpowiedzialnym stanowisku, mógł dostać kopniaka w górę albo kopniaka w dół, lecz nigdy poniżej dyktando szefi. Teraz zmienia się to powoli: były sekretarz propagandy niekoniecznie musi zostać ambasadorem, zaś kierownik wydziału — naczelnym redaktorem gazety. Ale kiedyś obowiązywał ten schemat bez względu na to, czy towarzysze narazili się bardziej czy mniej. Ci, co pozostali przy władzy, myśleli perspektywnie: przecież i my będziemy kiedyś odchodzić i nam przyda się kiedyś ciepła synekura. Trzeba zatem towarzysza urządzić! Zgodnie z ową regułą szef wezwał Andrzeja do swojego gabinetu i w przeciwieństwie do innych notabli potraktował go serdecznie. Zadysonował u Hanki koniak i kawę, posadził zdruzgotanego chłopca w fotelu i powiedział:

— Ubolewam.
— Nad czym?
— Żeście się pośliszgnęli.
— A co ja niby takiego zrobiłem?
— Mogliście przyjąć i wyznać mi wszystko

jak na świętej spowiedzi. Wtedy rozpiąłbym nad wami parasol.

— Jestem czysty jak iza.
— Niewątpliwie. Ale kiedy zaczęliście u nas pracować, nie poinformowaliście nikogo, że macie zmienione nazwisko i że spotkała was w Łodzi ta okropna przygoda.

— Nigdy nikomu o tym nie wspominam. Kochałem tę dziewczynę tak, jak później nie kochałem już żadnej. Chcieliśmy się pobrać.

— Dobrze, dajmy temu spokój. Zastanówmy się raczej nad waszą przyszłością. Radzę wam, żebyście wrócili do powiatu i zajęli się kulturą.

— Tam nie ma żadnej kultury.

— No więc trzeba ją zrobić! Wyrzucimy kierownika — karciarza i naprawicie wyrządzone przez niego szkody.

— Przykro mi, ale muszę odmówić.

— W takim razie moglibyście zostać dyrektorem Zakładów Przemysłu Drzewnego. Tego skurwysyna — złodzieja pozwolili wreszcie zdjąć i jest wolne miejsce.

— To mnie również nie interesuje, towarzyszu sekretarzu — rzekł Andrzej i uśmiechnął się wbrew woli do szefa.

— A co was interesuje?

— Zamierzam kilka lat aplikować, a potem złożyć egzamin adwokacki.

— Bardzo ładnie, trzeba jednak z czegoś żyć.

— Dam sobie radę.

— Ano, jak chcecie. Nie będę was na siłę uszczęśliwiał, ale gdybyście kiedyś mieli do mnie jakąś prośbę...

— Wtedy się zgłoszę — rzekł Andrzej; podał szefowi rękę i wyszedł, aby zjawić się w tym samym gabinecie po ośmiu latach. Kadra Komitetu uległa z biegiem czasu wybitnym zmianom na gorsze. Szef jednakże trwał jak opoka, trzymając wszystkich za mordę i wyrzucając na bruk podskakujące jednostki. Wobec Andrzeja wszelako, trzydziestosześcioletniego, posiwiałego lekko na skroniach adwokata, zachował się znowu nad wyraz uprzejmie. Usadowił go w wygodnym fotelu o nieznacznie stopniu zużycia, polecił podstarać już Hance przynieść whisky z lodem, alkohol ten wyparł bowiem w wyższych kręgach partyjnych ordynarne polskie wódki i francuskie denaturaty z główką Napoleona, po czym zapisał:

— Jak wam się powodzi, mecenasie?

— Nie narzekam — odparł Andrzej, zastanawiając się gorączkowo nad wyborem formy, w której mógłby się zwrócić do sekretarza, zdał bowiem niedawno czerwoną legitymację.

— A jak pan się czuje, towarzyszu?
— Kiepsko.
— Coś poważnego?
— Serce.
— Współczuję serdecznie.
— Czekaj się urodził, to i umrzeć musi — powiedział ze smutkiem sekretarz i Andrzej poczuł nagle do niego sympatię.

— Może mógłbym w czymś pomóc? Moja matka jest lekarzem, ma stosunki...

— Doktory nie tu nie poradzą, synku; krzają się przy mnie cały sztab. Powiedz lepiej, w czym ja mogę pomóc tobie.

— Chciałbym wrócić do Łodzi.
— Idź więc o zamiar mieszkania?
— Tak.
— Na bloki?
— Wolałbym raczej stare budownictwo.
— Hanka! — krzyknął szef. A kiedy do pokoju wjechała utleniona głowa powiernicy sekretarza tajemnic, rzekł miękko: — Połącz mnie z Komitetem Łódzkim i poproś Pierwszego.

— Natychmiast, szefie! — pospieszyła Hanka patrząc na szarą, zmęczoną twarz sekretarza z takim oddaniem i z taką troską, że Andrzej wzruszył się ponownie.

Szef wstał i uściśnął mu dłoń na znak, że audyencja skończona.

— Wpadnijcie jutro przed południem.
— Dziękuję. Bardzo dziękuję!
— Nie ma za co. Lubie was i wiem, że wyraziliście wam krzywdę, ale dzisiaj, wobec okoliczności, które wówczas zaistniały, musiałbym postąpić tak samo.

Nie minął miesiąc i Andrzej zajął komitetową ciężarówką przed bramą dużej, czynszowej, typowo łódzkiej kamienicy. Ciężarówka była za szeroka, aby wjechać na podwórkę i stanąć przed drugą, wewnętrzną bramą, co uprościłoby przeprowadzkę. Tak czy owak, kierowca pomógł Andrzejowi wnieść do nowego mieszkania kredens, szafę, kilka podstawowych sprzętów kuchennych, paczkę z książkami i tapczan bez charakterystycznego wgłębienia, które powstaje na skutek rozpusty. Przyjawszy bakszysz kierowca udał się w drogę powrotną do wielkiego wojewódzkiego miasta, zaś Andrzej podszedł do okna i przyjrzał się ciekawie domostwu.

Na trzecim piętrze po prawej stronie mieszkał Jacek; na wprost, na drugim piętrze ponad główną bramą, było jedno z okien Gejszy; Kukuryk rezydował na poddaszu po lewej stronie; w tym samym pionie na parterze żył i pracował czterdziestosześcioletni szewc oraz jego trzydziestoparoletnia, tegą połowica, która niebawem miała przyprowadzić Andrzeja o szok w związku z przypiętą do bluzki broszką.

W naszej, jakże prawdziwej opowieści wystąpi wiele innych, mniej lub bardziej znaczących osób, ale jeśli chodzi o posesję numer 84, szewc zamyka listę tych, którzy odegrają w niej czołową rolę.

Kopyto

Gustaw M. urodził się w ponurych czasach Drugiej Wojny Światowej i kiedy miał rok, jego ojciec został wywieziony do Niemiec na roboty. Ow silyn, zwalisty, mruklivy i zamknięty w sobie człowiek wrócił do Łodzi już po kapitulacji Berlina dźwigając na plecach duży, amerykański wór. W worze była sterta zniszczonej odzieży, słonina, czekolada, papierosy, skondensowane mleko, konserwy, penicylina i szereg innych darów miłościwej ciotki Unry, a na samym dnie spoczywała owinięta w szmatę broń — pudełko z nabojami i dwa małe brazylijskie colty typu Parana, przeszmuglowane jakoś przez granicę.

Ojciec Gustawa M. też był szewcem; wróciwszy, od razu na drugi dzień usiadł jakby nigdy nie przy kopycie i zaczął reperować obuwie sąsiadów. Wymachiwał jeszcze młotkiem prawie dziewiętnaście lat, w przebiegu których rzetelnie przyczyli syna do zawodu, pochował żonę, matkę Gustawa i wszedł w posiadanie parceli z drewnianym domkiem, mieszczącej się w okolicach Dworca Kaliskiego, na terenie dzisiejszych ogródków działkowych imienia Stanisława Rogowicza.

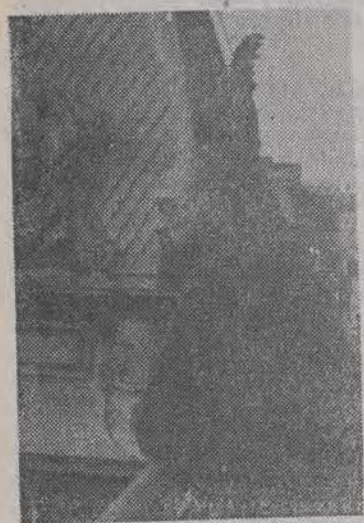
Gustaw był chłopcem urodziwym, ale tępy; w szkole nie rokował żadnych nadziei. Bywało, że podzielił trafnie liczbę parzystą przez dwa, lecz skłecenie logicznego zdania w ojczystym języku absolutnie przerastało pułap jego możliwości. Wezwany do odpowiedzi, z góry dawał za wygraną prosząc, aby nauczycielka czym prędzej postawiła mu dwie, a jak ktoś, belfer czy kolega, pozwolił sobie wobec niego na drwinę, wybijał zęby.

W klasie nosił przezwisko Młot, zaś na podwórku wołali na niego Kopyto. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem ludzie wyczuwają w bliznich to, co jest na pozór niewyczuwalne. Kopyto było bowiem w odniesieniu do Gustawa przeważnie wieszczym i po trzykroć słusznym.

Autor „Pięćdziesięciu melonów” nie ma ambicji napisania powieści kryminalnej, gdyż nie lubi tego gatunku — to raz, a dwa — jego żywiołem jest odkrywanie prawdy. Poza nielicznymi wyjątkami (Chandler) twórcy kryminałów są nudni, zakłamanymi, fałszywi jak tombak udający złoto i głupi, w związku z czym ci, co ich czytują: osobnicy o żenująco niskim wskaźniku inteligencji, dodatkowo katując swój sfałgowany umysł, stają się po prostu idiotami.

Nie! autor „Pięćdziesięciu melonów” nie będzie bawił się z Czytelnikiem w ciuciubabkę. Autor „Pięćdziesięciu melonów” powie czytelnikowi! Wprost: Gustaw M., jowialny, czterdziestosześcioletni szewc, jest nie ujawnionym mordercą.

C. D. N.



„Tryptyk z Ziemi Obiecanej”

— rozmowa z MACIEJEM LUKOWSKIM.

— Zawód reżysera filmowego wykonuje pan od 6 lat, a dorobek filmowy jest niezwykle imponujący — ponad 30 filmów, w tym mała filmoteka twórców filmów krótkometrażowych, tryptyk poświęcony artystom plastykom. Obecnie przystąpił pan do realizacji „Tryptyku z Ziemi Obiecanej”. Jakiego zagadnienia chce pan przybliżyć widzom?

— „Tryptyk z Ziemi Obiecanej” składa się z trzech części: „Opowieść o pałacach wyjątkowych”, „Rzecz o fabrykach wspaniałych”, „Kilka słów o łódzkiej secesji”.

— Zatrzymajmy się zatem przy pierwszym tytule traktującym o pałacach wyjątkowych...

— Mało kto wie, że Łódź jest jedynym w Polsce zbiorowiskiem ponad 100 pałaców fabrykanckich, budowanych we wszystkich stylach, na jakie było stać ówczesnych właścicieli. Przewodnikiem po nich stały się grafiki i rysunki wykonane przez niezliczonego już Wacława Kondka. Na początku lat 70. grafik ten wykonał ogromną ilość pałaców fabrykanckich Łodzi. Efektem jego działalności był album „Łódzkie pałace”. We wstępie autor zawarł wspomnienia i własny komentarz do tej licytacji w swoim rodzaju architektury XIX-wiecznej. W filmie zostaną zaprezentowane pałace Poznańskiego (największy przy ulicy Ogrodowej), pałac przy ulicy Wieckowskiej (Muzeum Sztuki) oraz pałac przy alei 1 Maja 6 (obecnie mieści się tam Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna).

Niezależnie od tego zaprezentowany zostanie Pałac Herbsta — jedyny muzeum wewnątrz fabrykanckich XIX i XX wieku. Ten pałac be-

dział pretekstem do pokazania bogatej obyczajowości rodziny fabrykanckiej. Z łatwością można zaobserwować jak wielcy przemysłowcy zapożyczali wzorce. Wtórny odkryciem dla filmu była wizyta w Muzeum Miasta Zgierza, w którym zgromadzone w 1984 r. wyposażenie domu fabrykanckiej rodziny Krusichów. Dwie szafy gromadzą oryginalne stroje pani oraz pana domu, bogactwo koronkowych serwet, obfite zastawy stołowej i najróżniejszych drobiazgów — oto dla filmu wspaniały materiał. Wydaje mi się, że życie fabrykanckie zawsze interesowało ciekawskich. Powstawały na ich temat liczne anegdoty i dziś chyba także w tych historycznych dociekaniach szuka się sensacji, plotki. Choć dom Krusichów nie był najbogatszy i istotnie różnił się od pałacowych wnętrz, ale zawiera wiele drobiazgów, sprzętów (łódzka z początku wieku, secesyjny piec kuchenny), bardzo dziwne przedmioty zaskakujące swoją pra-

skąd do filmu ostatniego z potomków wielkiego rodu Grohmanów...

— To prawda. Przewodnikiem tej części filmu jest Jerzy Grohman, ostatni z rodu. Grohmanowie i Scheiblerowie należeli do najbogatszych łódzkich fabrykantów, czego dowodem jest fakt, że córka Scheiblera była uważana za najlepszą partię (ze względu na posag) zaraz po carównie... Ale wracając do Jerzego Grohmana, po raz pierwszy zdecydował się wystąpić własnie w moim filmie na tle domów i fabryk. Tym bardziej cennie sobie naszą współpracę i mam nadzieję, że owocem jej będzie odmiłogizowanie sposobu postrzegania relacji, jaka zachodziła pomiędzy fabrykantami i robotnikami.

— To znaczy?

— Daleki jestem od schematycznego podejścia do tego zagadnienia. Buntuję się przeciwko pokazaniu fabrykantów w roli krwiopiców, zaś robotników jako istot szczególnie uciśnionych. Myślę, że pan

ktycznością, a które pozostają do dzisiaj niezwykle interesujące.

Dalej prezentuje pałacyk Scheiblera w Parku Źródliska — arcydzieło rzemieślniczego sztuki. Dziś mieści się tutaj Muzeum Kinematografii. Ten pałacyk wielokrotnie służył filmowcom, choć jeszcze trzydzieści lat temu jego wnętrza uważano za symbol brzydoty. Kamera wychwytyje pałace fabrykanckie wtopione w ciągły ulic: Pałac Hertza — ulica Kościuszki (dzisiaj rektorat Akademii Medycznej), Pałac Juliusza Hainzla ul. Piotrkowska (dzisiaj siedziba Urzędu Miasta), Dom Kindermana ul. Piotrkowska (obecnie Prokuratura), Dom Kindermana, ul. Piotrkowska 137 (obecnie Związek Nauczycielstwa Polskiego), Dom Bankowy Gólfedera ul. Piotrkowska 77 (obecnie Klub Studencki), Pałac Kona (dzisiaj PWSFTiT)...

— I tak „Opowieść o pałacach wyjątkowych” stała się lagodnym prześwieczeniem do drugiej części tryptyku „Rzecz o fabrykach wspaniałych”.

— Już sama nazwa tryptyk zakłada ścisły związek pomiędzy częściami, tak więc „Rzecz o fabrykach wspaniałych” jest jedynie próbą innego spojrzenia na to samo zagadnienie. Łódź przełomu XIX i XX wieku była miastem rozwijającym się w szczególnie zawrotnym tempie. Pozbawiona wyższych warstw polskich, zalana falą żyjących obcych wytworzyła swoista kultura łódzkich fabrykantów. Do najważniejszych należą: Scheibler, Poznański, Kon. Rosenblatt, Geyer, Grohman, Biderman, Helzel, Kunitzer, Siberstein...

— Podobno udało się panu poz-

Grohman i jego wspomnienia o przedkach przybliżyć obraz faktycznego życia fabrykanta w swej codzienności.

— Klamra spinająca okazuje się trzeci film „Słów kilka o łódzkiej secesji”.

— Tak, ten film zamyka cykl, ale jest jednocześnie gorzka refleksja nad ludzką bezmyślnością. Przecież wszystko, co było dziełem twórczości, zostało całkowicie zniszczone, zniszczone, zniszczone. Jest to tym bardziej karygodny przykład, że działania wojenne ominęły Łódź, a mimo to zachowało się tylko 5 proc. oryginalnych zabytków. Wystarczy przytoczyć te przykłady, których jeszcze nie wymieniałem w naszej rozmowie: willa secesyjna L. Kindermana ul. Wólczańska 31 (BWA), willa Richtera ul. Worceli 6/8 (Politechnika Łódzka — rektorat), willa Kindermana ul. Wólczańska 10/12 (USC), willa Jarsicha ul. Piotrkowska 153 (USC), aby uzmysłowić jak cenne są te zabytki. To nie rekonstrukcje! Co mądrzejsi rehabilitują tamten wiek, tamten rzekomo „ohydny ekletyzm”, chorobę i zakałę prawdziwej i nowoczesnej sztuki. Ja jednak jestem przekonany, że ta „ohyda” i „zaraza” będzie rosła w cenę coraz bardziej — jak pisał Kondek. Przysięgam do realizacji powyższego tryptyku, aby zatrzymać dla potomnych to, co w Łodzi jest najcenniejsze.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Do oglądania filmów Akira Kurosawy nie trzeba zachęcać. Wszystkim więc miłośnikom jego talentu przypominamy, że na naszych ekranach pojawił się kolejny film japońskiego mistrza kina pt. „RAN”, produkcji japońsko-francuskiej. Jest to inspirowana szekspirowskim „Królem Lirum” opowieść o XVI-wiecznym japońskim możnowładcy, który dzieli swoje dobro między synów. (Kostiumy w tym filmie zdobyły „Oscara” w 1986 roku).

Scenariusz filmu napisali: Akira Kurosawa i Hideo Oguni, scenografie zaś Yoshiro i Shino bu Muraki. Wykonawcy: Tatsuya Nakadai, Akira Teruo, Jinpa-chi Nezu, Ryu Daisuke, Mieko Harada, Yoshiko Miyazaki, Masayuki Yui i Kazuo Kafo.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

■ Roman Polański, Jean-Francois Balmer, Rufus i Jean-Pierre Joris są odzwierciedleniem ról w filmie „Czekając na Godota” Samuela Becketta ekranizowanego dla telewizji francuskiej przez zachodniemieckiego reżysera Waltera Asmusa, zaprzyjaźnionego z irlandzkim pisarzem i od lat inscenizującego jego sztuki w wielu teatrach w RFN.

■ „Upokarza mnie to, że niekiedy prócz seriali z USA nie ma co oglądać” — oto publiczne oświadczenie telewizyjne jakie złożył minister kultury Francji, Jack Lang. Wzwał on dyrektorów francuskich stacji telewizyjnych do przeciwdziałania się zalewowi programów amerykańskich. W podobnym tonie wypowiadali się w Sztokholmie ministrowie kultury i informacji 21 państw członkowskich Rady Europy. Mówili o zdominowaniu kanałów telewizji satelitarnej przez amerykańską telewizję i poddali ostrej krytyce jej niski poziom artystyczny, przeładowanie reklamą, erotyką i scenami przemocy.

■ „Dossier na samego siebie” — to film poświęcony ofiarom stalinowskich represji, który realizuje Giennadij Biełtow, w przeszłości sam aresztowany i przesładowany. Jest to ekranizacja jego własnej powieści, którą napisał przed 20 laty i do tej pory nie opublikował. Film realizuje się w „Lenfilmie” dla potrzeb telewizji. Jakkolwiek powstaje na zamówienie Związku Filmowców ZSRR, to jednak trudności finansowe, z jakimi borykał się twórca tego obrazu zmusiły reżysera do zwrócenia się z apelem do widzów o pomoc w sfinansowaniu przedsięwzięcia. Zdolano zebrać ok. 60 tys. rubli.

■ „Pajęczyna” to tytuł sześcioczęściowej opowieści o oficerze śledczym radzieckiej milicji. Film powstaje na zamówienie włoskiej telewizji RAI 2 w wytwórni Imago we współpracy z telewizją radziecką.

na powyższe pytanie odpowiada JERZY WILMAŃSKI, poeta, komentator Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi.

— Czym jest, według ciebie, upowszechnianie kultury?

— Jest takie powiedzenie, że kultura nie jest dla wszystkich, natomiast kultura jest dla każdego, kto jej potrzebuje. Jeśli zatem wszelkie instytucjonalne działania upowszechniające trafiają akurat do tych kręgów, które kultury nie potrzebują, to jest to bezużyteczna praca. Dlatego ja uważam za najcenniejsze i najbardziej potrzebne działania w dziedzinie upowszechniania kultury w środowisku dziecięcym i młodzieżowym. Tylko w ten sposób bowiem możemy wykształcić pokolenie, które będzie kultury potrzebowało. Wszyscy wiemy o tym, że ogromna część społeczeństwa dorosłych kultury nie potrzebuje — ludzie nie czytają książek, rzadko chodzą do teatru, na koncerty, nie oglądają wystaw plastycznych.

Czy można zatem kogoś, kto przeżył pół życia bez ambitniejszych potrzeb kulturalnych, nakłonić jakimkolwiek działaniem upowszechniającym kulturę do literatury, muzyki, sztuki, słowem kultury? Sądzę, że nie. Tak zwana tradycyjna inteligencja, która zawsze była konsumentem kultury, dziś w poważnym stopniu zatraciła zainteresowanie tą, jakże ważną i wielką, dziedziną życia.

— Jak zatem rozumiesz upowszechnianie kultury w naszych, złożonych, warunkach?

— Dla mnie upowszechnianiem kultury jest na przykład taka prosta sprawa, jak przeczytanie książki, bardzo przecież nieraz wartościowych, a tak drogiej, że młody inteligent czy student nie może sobie na ich kupno pozwolić po cenach wyśrubowanych przez wydawców. Okresowe przeczytanie, jak obserwuję, dotyczy tak wartościowych autorów jak Poświatowska, Kuśniewicz, Wańkowicz czy Choroński. I tu obserwuję takie zjawisko: książki te po przeczytaniu prawie natychmiast znikają z księgarń, co świadczy, że jedyną barierą w dotarciu ich do czytelnika była wysoka cena. Czyż takie przeczytanie nie są, może mało efektywną, ale

bardzo skuteczną działalnością upowszechnieniową? To jest właśnie prawdziwe upowszechnienie kultury, a nie darmowe czy ulgowe bilety na byle jaki estradowy koncert.

— Nasza nagroda jest przyznawana osobom fizycznym bądź instytucjom, które w minionym roku kalendarzowym wykazały się wyjątkową działalnością w upowszechnianiu dóbr kultury. A preczema książek, to przecież działalność administracyjna „Domu Książki”.

— Oczywiście, dlatego też nie proponuję „Domu Książki” do waszej nagrody, ale zwracam uwagę na ten, bardzo istotny aspekt sprawy świadczący o tym, że działalność upowszechnieniowa może odbywać się w różnych płaszczyznach. Może być przedmiotem działania administracji, szkoły, organizacji społecznych, przemysłu... Natomiast jeśliby szukać potencjalnych laureatów waszej nagrody, to proponowałbym szukać ich właśnie w szkole, wśród tych nauczycieli, którzy nie z musu, poza programem prowadzą dzieci do teatru, rozmawiają z nimi o książkach, podsuwają odpowiednią lekturę, prowadzą kółka literackie czy polonistyczne, dyskutują o filmach i sztukach teatralnych, organizują szkolne konkursy na recenzje...

— A może już masz kandydata do nagrody „Odgłosów”?

— Takich szkół i takich nauczycieli jest zapewne wiele, mogą powiedzieć natomiast o dwóch szkołach, których działalność w tym względzie jako tako znam: to Liceum Ogólnokształcące w Aleksandrowie Łódzkim i XV Liceum Ogólnokształcące z ulicy Traktorowej w Łodzi.

— Dziękuję ci za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

19 stycznia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

26 stycznia — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 12 STYCZNIA 1989 R.

Pan Bogdan Rychlik, kierownik zakładu zegarmistrzowskiego mieszczącego się na ulicy Tuwima 8 prosi o sprostowanie informacji podanej w notatce w „Odgłosach” (relacja z dyżuru reporterskiego Bogdy Madej), że zakład, którym kieruje jest czynny nie od 8 rano do 16 po południu, a od 10 rano do 18 wieczór.

Pan Krzysztof Wojciechowski z nowego osiedla Radogoszcz — Wschód pyta, jak to jest z tą naszą gospodarnością. Bo oto w miejscu gdzie mieszka, w listopadzie ub. roku uporządkowano trawnik, zasiano trawę i posadzono drzewka. A teraz, w styczniu, zjawili się jakieś ekipy i wszystko to rozkopali, drzewka wyrzuciły, bo mówią, że teraz w pobliżu oni będą budować parking. A więc sprawdziło się po raz któryś stare porzekadło, że nie wie lewica, co czyni prawica.

Pani Z.M. (nazwisko do wiadomości redakcji) pyta, czy to, co napisaliśmy w „Odgłosach” (chodzi o dyżur reporterski w dniu 1.XII ub. r.) jest prawdą: otóż pani Z.M. doczytała się, że właściciele lokali własnościowych powinni płacić mniejsze komornie. Nie wiem, ale tą drogą pytam władze administracyjne miasta, czy jest to zwyczajna plotka, czy może zawiera ona jednak przysłówowe ziarno prawdy?

Pani J.P. (nazwisko do wiadomości redakcji) podniosła, moim zdaniem, ważną sprawę. Ze względów rodzinnych pragnie podjąć dodatkową pracę (pracuje 8 godzin) po godzinie 15. Nawet była w Wydziale Zatrudnienia. Niestety, żadnej pra-

nie pracuje i do mieszkania jej nie wpuszcza. Więc pani G.I. wedręje z dziećmi od jednego lokum do drugiego. Teraz pyta, co ma robić dalej. Podalem dwa adresy: Rzecznika Praw Obywatelskich oraz Wydział Skarg i Interwencji przy KC PZPR.

Pani Kazimiera Wróblewska mieszkająca na ul. Karpiej ze względu na stan zdrowia (a także męża i córki) otrzymała mieszkanie na Łomżyńskiej 17/19. Na Karpiej zostawiła telefon, bo w Urzędzie Telefonów powiedziano jej, że przeniesienie telefonu jest możliwe. Teraz otrzymała pismo, że owszem, ale po 1990 roku, a jeśli chce szybko, to mogą jej za 100.000 zł założyć telefon nośny typu ATN 1-1. Ponadto choć od października nie mieszka na ul. Karpiej, to rachunki za telefon nadal przychodzi. Co na to Urząd Telefonów?

Pan Kazimierz Amurski od pięciu lat walczy o życie ośmiu liq rosnących na ulicy Niciarnianej. Otóż postawiono tam dwa kioski: ruchowski i owocowo-warzywny. Postawiono je na korzeniach owych lip. I lipy usychają. Były tam komisje: z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego i z Ligi Ochrony Przyrody. Uznali, że kioski należy usunąć. Było to w 1986 roku. Taką decyzję ponow podjął także Komitet Osiedlowy nr 3 Widzew-Zachód. Niestety, Urząd Dzielnicowy na Widzewie jakoś nie kwapi się by pośpieszyć na pomoc ginącym drzewom, których w Łodzi jest i tak przecież mało.

EUGENIUSZ IWANICKI

WODEX
Przedsiębiorstwo Usługowo-Produkcyjne
SKŁAD KONSYGNACYJNY
w Łodzi, ul. Tuszyńska 69
tel. 84-70-48
O F E R U J E
RZEMIEŚNIKOM, FIRMOM POLONIJNYM
I NABYWCOM INDYWIDUALNYM
★ TKANINE JEANS ★
Sprzedaż hurtowa za waluty wymienialne oraz bony PKO 310/K

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

LUDZIE, CZASY, OBYCZAJE

Nie jest moim zamiarem ocenianie poziomu intelektualnego pogadanki cyklicznie serwowanych w programie lokalnym TV. Uważam jednak, że i one powinny zobowiązywać do przestrzegania choćby elementarnych zasad zwykłego taktu, skoro już nie staje rzetelnego rzemiosła zawodowego. Oto w czwartek 5 stycznia spikerka (czy jak kto woli — prezenterka) pośród serii rytualnych informacji z miasta, odczytała krótką wiadomość o śmierci Władysława Orłowskiego. W kilka minut później na ekranie ukazał się oświadczenie znany łódzki literat, który jał przez dłuższą chwilę zachęcać widzów do lektury dzienników pewnej wybitnej polskiej pisarki, dawno zresztą wydanych. Śmierć kolegi, było nie było przynajmniej po piórze, ani go obeszła...

Piszę o tym przekonany, że Władysław Orłowski zasłużył swoją twórczością i wieloletnią pracą w Łodzi na szczerze uznanie nie tylko wśród licznej rzeszy czytelników Jego książek, artykułów i widzów teatralnych. Winiem Mu jestem to skromne upomnienie się o należne poszanowanie Jego pamięci choćby z tego względu, że był moim pierwszym redaktorem naczelnym, który w listopadzie 1956 roku wręczył mi, i to jako pierwszemu w ówczesnym zespole „Expressu Ilustrowanego”, legitymację dziennikarską. Żałuję ogromnie, że już się nie spotkamy, by znowu wspominać tamte pełne niesienia czasu październikowe oraz lata późniejsze, które równie Jemu nie szczędziły wielu kłopotów i bolesnych przykrości.

KONRAD TUROWSKI

DLACZEGO NIE MA CHĘTNYCH DO PRACY W „RUCHU”

W „Odgłosach” przeczytałam: „Najbardziej mnie boli, że nikomu nie opłaca się prowadzić kiosku „Ruchu”, gdyż to również deficytowy interes”.

Cóż! Chciałam powiadomić, iż 15 lat byłam współnikiem kiosku „Ruchu”: to w czasach kiedy nie było urlopów dla sprzedawców, nie było wolnych niedziel. Pracowałam na 2 posadach. Jako kasjerka w aptece i na drugiej zmianie jako sprzedawca „Ruchu”. Dyrekcja „Ruchu” wiedziała, że pracuję na 2 posadach i z pracy sprzedawcy agencji „Ruchu” nie otrzymałam emerytury. Mimo to pobierano co miesiąc z mojej pensji olbrzymie składki na ZUS, który miał przysłać mi rentę na lata starcze.

Wyłudono ode mnie składki mimo to, iż wiedzieli, że pracownikowi odchodzącemu na emeryturę nie przysługują ona z pracy agencji. I to jest przyczyna, że nikt nie chce pracować.

IRENA BARAN

CZY TAK TRUDNO USTALIĆ DATĘ ŚMIERCI?

W „Przeglądzie Pras” — „Zamachy na Bierut” („Odgłosy” nr 48 (1600)) podano, iż Bolesław Bierut zmarł 11 marca 1956 r. Dotychczas było wiadome, iż Bierut zmarł 12 marca 1956 r. Dla odmiany — od paru wydań Encyklopedii PWN „lansują” datę śmierci Bolesława Bieruta — 9 marca (!) 1956 r. Jakies pomieszczenie...

Ala nie tylko z datą śmierci Bolesława Bieruta. Bo za życia Mieczysława Cwiklińskiego zawsze obchodzili urodziny 1 stycznia przyjmując 1880 jako rok urodzin. W wydanej obecnie książce Maria Bojarska podaje datę urodzin: 1 stycznia 1879, a w wydanej w 1985 roku książce „W starym polskim kinie” Stanisław Janicki podaje rok urodzenia Mieczysława Cwiklińskiego — 1881! Ale to trochę trudniej sprawdzić niż datę śmierci Bolesława Bieruta.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

TAK TRZYMAĆ?

I. Jan R., księgowy — emeryt podjął życiową decyzję: zawiesić świadczenia ZUS i jeszcze trochę popracować, aby podwyższyć podstawę wymiaru emerytury. Jak pomyślał — tak zrobił, obejmując stanowisko głównego księgowego w nowo organizowanej firmie, nazwijmy ją „M”. Na wynagrodzenie nie narzekał, premie jakie przyznawano — brał. Jednym słowem na początku była sielanka.

Alisi po jakimś czasie poglądy Jana R. i jego zwierzchników zaczęły się różnić. Wynik był oczywisty: rozwiązanie stosunku pracy. Bez specjalnych wstrząsów, ot za normalnym okresem wypowiedzenia.

Po prawie roku od chwili rozstania, Jan R. przypomniał sobie, że ma jednak do firmy jakieś pretensje, a konkretnie — że pobierana przez niego pensja i inne profity nie były adekwatne do ilości czasu i wkładu pracy, jaką świadczył. Wystąpił zatem do sądu pracy z pozwem o kilkadziesiąt tysięcy złotych dołączając jednocześnie „dzienniczek”, w którym, jak się okazało, od samego początku zatrudnienia skrupulatnie notował co robił, gdzie i ile czasu poświęcał na sprawy firmy. Przedziwna zapobiegliwość!

Zapomniał tylko o jednym: że jako członek kierownictwa miał nielimitowany czas pracy i w związku z tym żądania jego są co najmniej wątpliwe. O czym zresztą jako wykwalifikowany główny księgowy sam powinien najlepiej wiedzieć. Sąd, zgodnie z przepisami, spór przyjął bez żadnych opłat, a potem wyznaczył biegłego dla zbadania zasadności roszczeń.

Pan biegły, i to też oczywiste, stwierdził, że Janowi R. nic się nie należy (oprócz drobnej kwoty trzystu kilkudziesięciu złotych tytułem odsetek za opóźnione przekazanie jednej z pensji). Po czym wystawił rachunek na 19 tysięcy złotych, płatny z kasy sądowej.

Jan R. proces przegrał, skarb państwa zapłacił za opinię biegłego, sąd miał zajęty czas, ławnicy byli zwalniani z pracy na posiedzenia.

II. Jan L. nie należał w firmie „M” do orłów. Koniec końców, po uprzednio prowadzonych rozmowach, które i tak nie przyniosły pozytywnych rezultatów — otrzymał w normalnym trybie wypowiedzenie. Jan L. poczuł się dotknięty. Zwrócił się do sądu z wnioskiem o przywrócenie do pracy, bowiem — w jego odczuciu — brak było podstaw do wypowiedzenia. Wnioski takie są przyjmowane bez opłat.

Jak do tego momentu — należy sytuację traktować jako normalną: niechże ma obywatel możliwość zwrócenia się do upoważnionego organu o skontrolowanie, czy nie dzieje mu się krzywda (choć zdaje się, że dziś można by się nad tą „normalnością” zastanawiać...).

Rzecz tylko w tym, że Jan L. nie raczył przybyć na żadną z trzech wyznaczonych przez sąd rozpraw. Składają jest wiadomo, że już dawno pracuje on w innym miejscu. Ale żeby powiadomić

sąd, że sprawa stała się nieaktualna — o nie! To zbytni trud! Ze zwrócił się do sądu „na wszelki wypadek” i za darmo — to fraska! A niech się sąd martwi.

III. Wysoki sąd w rozmowie półprywatnej stwierdza: „gdyby były jakieśkolwiek opłaty, to ilość tego typu spraw zmalałaby o jedną trzecią. A tak to ludzie piszą, co im to szkodzi!”.

I przecież nie chodzi o stworzenie sytuacji, w której naprawdę pokrzywdzeni i potrzebujący nie mogliby znaleźć ochrony. Ale istniejący „automat” sprawia, że sądy są zawałane stosami spraw, które nie mają racji bytu. A wszystko to powoduje koszty społeczne, w znakomitej części nieuzasadnione!

Tak trzymać?

W. AFELT

ŻEBY STAROŚĆ BYŁA SPOKOJNA

W nawiązaniu do notatek prasowych, jakie ukazały się w nr 44 i 45 „Odgłosów” na temat działalności Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej i Geriatrii w Łodzi przy ul. Przybyszewskiego 255 oraz wyjaśnień w tej sprawie udzielanych przez zastępcę dyrektora wyżej wymienionej placówki z 9.11.1988 roku — Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi uprzejmie informuje, że w wyniku przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego oraz spotkania z pracownikami tej placówki ustalono, co następuje:

— W trzech pawilonach o łącznej liczbie 665 miejsc przebywają osoby przewlekle chore, w tym około 30 proc. nie wstających z łóżek, a około 25 proc. z zaawansowanymi zmianami miażdżycowymi i związanymi z tym często zaburzeniami osobowości. W każdym z oddziałów liczących średnio po 65 łóżek pracuje w systemie 3-zmianowym (łącznie z niedzielami i świętami) po 6 pielęgniarek i 7 salowych. Zgodnie z normą MZIOS winno być 8 pielęgniarek i 12 salowych. Biorąc powyższe pod uwagę jak również absencje chorobowe i inną usprawiedliwioną nieobecność w pracy stan zatrudnienia tych grup zawodowych daleki jest od istniejących potrzeb w tym zakresie.

— W każdym oddziale są wydzielone i odpowiednio oznakowane miejsca dla osób palących. Zdarzają się przypadki, że zarówno część personelu, jak i pensjonariuszy nie przestrzega obowiązujących przepisów w tym zakresie. W tej sprawie zalecono wyciąganie konsekwencji służbowych w stosunku do podległego personelu. W przypadkach naruszenia obowiązujących przepisów określonych zarówno przez Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej jak i przez Głównego Lekarza Wojewódzkiego.

— Sprawy związane z żywieniem pensjonariuszy nastrożają wiele problemów w tej placówce. Wynika to między innymi z trwającego procesu inwestycyjnego. Aktualnie trwa budowa wolno stojących budynków zaplecza warsztatowego, a w roku 1989 planowane jest rozpoczęcie budowy pawilonu „D”, w którym znajdą siedzibę przychodnie specjalistyczne i oddział szpitalny. Brak bezpośredniej łączności między zapleczem komunalnym a poszczególnymi blokami powoduje konieczność dowożenia wszystkich posiłków do poszczególnych bloków w termosach.

Szczególne uciążliwości występują w okresie zimy i zdarzają się przypadki, że jedzenie nie zawsze dowożone jest o właściwej temperaturze i konieczne jest używanie elektrycznych podgrzewaczy. Część pensjonariuszy korzysta zgodnie z zaleceniem lekarza z posiłków dietetycznych, co niekiedy w opinii niektórych pensjonariuszy bądź osób odwiedzających może być poczytywane za celowe zmniejszanie racji żywnościowych. Zgodnie z obowiązującymi przepisami salowe mają prawo do bezpłatnego całodziennego wyżywienia, które spożywają w pomieszczeniach kuchennek oddziałowych.

Biorąc pod uwagę ewentualne zarzuty dotyczące spożywania przez personel części posiłków przeznaczonych dla pensjonariuszy wprowadzono obowiązek rozdziału posiłków przez salowe, oddziałową oraz dietetyczkę.

— Niektórzy z pensjonariuszy wyrażają dobrowolnie chęć pracy fizycznej na rzecz placówki np. pomocy w kuchni, prace porządkowe itp. Zdaniami naszymi działania te ze wszelkich miar zasługują na poparcie, bowiem zapobiegają w znacznym stopniu powstawaniu negatywnych skutków starzenia się.

— Nie potwierdzono zarzutów kontroli korespondencji skierowanej do pensjonariuszy. Zdarzały się natomiast sporadyczne przypadki otwierania listów, w sytuacji kiedy brak było na kopercie konkretnego nazwiska, a figurowała jedynie nazwa placówki.

— Sprawa braku bieżącej prasy w niedziele i święta zostanie pozytywnie załatwiona w najbliższym czasie. Czynnione są również starania w celu uruchomienia kiosku „Ruchu” na terenie tej placówki.

— W okresie 3 lat istnienia placówki stwierdzono 3 przypadki przywłaszczenia sobie przez personel niewielkich kwot pieniężnych. Wszystkie te przypadki zostały niezwłocznie zgłoszone do prokuratury.

— Nie potwierdzono zarzutów dotyczących bicia lub niewłaściwego traktowania pensjonariuszy. Zdarzają się natomiast sporadyczne przypadki nieporozumień, a nawet zakłócania spokoju pomiędzy poszczególnymi pensjonariuszami. Przypadki takie traktowane są indywidualnie, a ich rozwiązanie następuje przy ścisłej współpracy z samorządem mieszkańców. Są to zwykle sprawy bardzo trudne, bowiem dotyczą osób w podeszłym wieku, niesprawnych, a często znajdujących się w stanie ograniczonej świadomości. W środowisku takim bardzo często przyczynami powstających konfliktów jest niezamierzone działanie personelu bądź współmieszkańca — słowo, czyn, niezawinienie, opóźnienie wydania posiłków itp. Dlatego też tutaj Wydział zwrócił szczególną uwagę na te sprawy zarówno w sprawowanym nadzorze, jak i w ramach prowadzonych szkoleń personelu.

WŁODZIMIERZ PETRENKO

z-ca dyrektora Wydziału ds. Pomocy Społecznej

NA ULICY URZĘDNICZEJ...

Wielokrotnie chciałem do was napisać, czy to w sprawach miasta czy w innych bardziej ogólnych, ale albo brak czasu albo mobilizacji... lecz czytając odpowiedź Wydziału Gospodarki Komunalnej UD Łódź-Bałuty na temat Interpelacji w sprawie nawierzchni ul. Urzędniczej już nie „wyrzobiłem”.

Mieszkań na ul. Urzędniczej 18 przeszło 8 lat i pomijam fakt, że blok w zasadzie stoi na terenie Zakładów „POLONIT” — o tym wie bez mała cała Polska, ale napisanie przez rzekomo kompetentnego pracownika UD (Maria Orlik), iż przeprowadzona kontrola stwierdza, że niektóre odcinki wymagają „istotnie drobnych napraw”, to już nie brak kompetencji czy w ogóle oczu, to po prostu beczelność.

Jeżeli UD i Maria Orlik tak uważa, to zapraszam Ją wraz z Przewodzącymi oraz Przedstawicielem Redakcji na przejażdżkę ul. Urzędniczą oczywiście samochodem UD z prędkością ok. 40 km na godzinę, bo przecież to nie jest ulica w milionowym (w „centrum”) mieście, to nawet nie jest polna droga — to wizytówka Gospodarza tj. Urzędu Dzielnicy Łódź-Bałuty.

Jeszcze jedno — uprzejmie proszę o przekazanie Andrzejowi Brychtowej podziękowań i gratulacji. A tak na marginesie — jak zdobyć tę ostatnią książkę?

ROMUALD MARCZYŃSKI

PODZIEMIA POD BUDYNKIEM PRZY UL. PIOTRKOWSKIEJ 182

Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście” uprzejmie wyjaśnia iż:

I. Do października 1986 r. tj. przez ponad 9 lat budynek przy ul. Piotrkowskiej 182 był administrowany przez Łódzką Spółdzielnię Mieszkaniową Lokatorsko-Własnościową. Dokumentacja projektowa przewidywała wykorzystanie części podziemnej pod tym budynkiem jako parkingów-garaży. Wykonawcą tego budynku był Łódzki Kombinat Budowlany „Śródmieście”, a inwestorem ZPIUJ „Inwestprojekt”.

Budynek przy ul. Piotrkowskiej 182 (bud. nr 1, sektor B) był odbierany i przekazywany do eksploatacji kolejno od 30.11.1976 roku do 14.01.1978 roku. W tym terminie odbierane były mieszkania, natomiast nie był odbierany podziemny parking-garaż, gdyż roboty nie były zakończone. Generalny wykonawca — LKB „Śródmieście” po raz pierwszy zgłosił do odbioru te pomieszczenia 17 lipca 1981 roku. Jednakże LSM trzykrotnie odmawiała odbioru tych pomieszczeń. W czasie tych nieskutecznych odbiorów wyniknęło szereg zastrzeżeń natury technicznej co do prawidłowego funkcjonowania tych pomieszczeń jako parkingów-garaży. W związku z tym Zarząd LSM zwrócił się do Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej, Woj. Stacji Epidemiologicznej, Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto o wydanie opinii o możliwości użytkowania tych pomieszczeń zgodnie z przeznaczeniem. Do Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej zwracano się w tym okresie trzykrotnie i nigdy nie uzyskano opinii pozytywnej.

Zarząd LSM podejmował nieudane próby zmiany przeznaczenia podziemnych pomieszczeń pod budynkiem przy ul. Piotrkowskiej 182, poszukując odpowiedniego użytkownika. Jednakże próby te spotykały się zawsze z ostrym sprzeciwem mieszkańców i Rady Osiedla SDM, która jednoznacznie żądała, aby garaże służyły użytkownikom zgodnie z zaprojektowaną dla nich funkcją.

W czerwcu 1983 pomieszczenia podziemne zostały przejęte od generalnego wykonawcy przez ZPIUJ „Inwestprojekt”. LSM nigdy nie przejęła parkingów-garaży do eksploatacji.

II. 1986 r. w wyniku podziału Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej powstała Spółdzielnia Mieszkaniowa „Śródmieście”. Zarząd SM „Śródmieście”, zgodnie z postulatami mieszkańców, pragnie wykorzystać podziemne pomieszczenia w budynku przy ul. Piotrkowskiej 182 jako garaże. Jednakże będzie to możliwe dopiero po uzyskaniu pełnej gwarancji bezpieczeństwa mieszkańców bloku i okolicznych budynków oraz znajdującego się wokół centrum handlowego.

W tym celu Zarząd SM „Śródmieście” podjął następujące działania:

— doprowadził do pełnej sprawności instalację tryskaczową, która uległa zniszczeniu (korozji);

— doprowadził do prawidłowego stanu instalację wentylacyjną; — zalecił naprawę przeciekających tarasów nad garażami.

Ponadto Zarząd SM „Śródmieście” zlecił opracowanie pełnej ekspertyzy. Wynik tej ekspertyzy da ostateczną odpowiedź czy podziemia w budynku przy ul. Piotrkowskiej 182 mogą spełniać rolę parkingów-garaży. W przypadku odpowiedzi negatywnej pomieszczenia te zostaną zagospodarowane w inny sposób. Spodziewamy się, iż ekspertyza zostanie nam przekazana w I kwartale 1989 roku.

ZARZĄD

Spółdzielni Mieszkaniowej „ŚRÓDMIEŚCIE”
(podpisy nieczytelne)

REDAKCJA — CZYTELNICY

FRANCISZEK PRUT, Kalinków-Zalesie, pocztą Aleksandrów koło Opoczna. Dobry zwyczaj nakazuje, aby listy z polemikami wysyłać najpierw do redakcji tego pisma, w którym ukazał się artykuł wywołujący polemikę. Jeśli redakcja z niego nie skorzysta, można przesłać go innej, ale trzeba zaznaczyć, że właściwa redakcja nie wydrukowała, a sprawa jest ważna. Ponieważ nie wiemy, czy pan wysłał list do „Tygodnika Piotrkowskiego” i czy tam z tego listu skorzystano, polemiki nie publikujemy.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI z Łodzi pyta, „czy nie szkoda papieru na ogłoszenia?”. Nie szkoda. Na całym świecie pisma utrzymują się z ogłoszeń. Jeszcze w 1987 roku „Odgłosy” były deficytowe i groziła nam nawet likwidacja z tego powodu. W 1988 roku przyniesliśmy znaczny, bo kilkumilionowy dochód. Dlatego nie szkoda papieru na ogłoszenia. Staramy się jednak nie przekraczać pewnych granic. Szukamy też atrakcyjnych form dla ogłoszeń.

SYLWESTER RAŻNY, Zduńska Wola. Nasza zachęta dotyczyła pańskich uwag na temat tego, co pana otacza. Ma pan niewątpliwie łatwość pisania, ale radziłbyśmy na początek raczej notować w możliwie prosty sposób obserwacje o tym, co się wokół pana dzieje. Opowiadanie „Miłość” jeszcze nie do druku.

CZESŁAW GEZEL, Łódź. W minionych latach wielu różnym ludziom stawiano różne zarzuty i nie zawsze pokrywały się one z prawdą. Nie potrafimy odpowiedzieć, czy zarzuty postawione prof. J. Bafii w 1981 roku były zasadne i czy wszystko zostało wyjaśnione do końca. O jednym wszakże trzeba pamiętać, że ludziom, nawet surowo ukaranym, którzy swoje winy okupili odbytą karą, przysługuje powrót do normalnego życia. Nie wolno nikogo skazywać na „społeczną banicję” na wieki. Każdemu przysługuje prawo do rehabilitacji, a tę można dokonać tylko poprzez pracę dla społeczeństwa. Czas, kiedy ludzie posądzani o błędy i szkody byli skazywani na wyznanie z historii, na szczęście, minęły. Miejmy nadzieję, że bezpowrotnie. Dlatego nie wolno pod niczymi adresem kierować takich uwag, jak pan to czyni, nie mając ani cienia pewności, że pana posądzenia są w jakiejś choćby części prawdziwe.

HENRYK FILIPCZAK, Łódź. Skoro oryginał listu przekazał pan Sławomirowi Pietrasowi, a list dotyczy spraw wewnętrznych Teatru Wielkiego, nie widzimy potrzeby jego publikowania.

ANNA MARCINIAK, Łódź. Zgadamy się z panią w pełni, że w Łodzi brudne są nie tylko ulice, ale i klatki schodowe. Zgadamy się również, że dozorczy powinni je sprzątać. Mamy jednak wątpliwość, czy osiągnie się to tylko poprzez nakładanie kar pieniężnych. Wszelkie karanie zmierzające do pomniejszenia skutków, nie usuwa przyczyn. Podobnie jest i w tym przypadku.

REDAKTOR DYŻURNY

**30-lecie
FIRMY**

tel. **57.55.55**

**30-lecie
FIRMY**

Prywatne Pogotowie Lekarzy Specjalistów • Wizyty domowe w zakresie:

PEDIATRII ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej.
INTERNY oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii, chirurgii miękkiej i ortopedii, urologii, neurologii i psychiatrii, dermatologii, reumatologii, okulistyki, ginekologii, EKG u pacjenta.
Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8—22, w dni wolne od pracy 9—22. Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia. 2294/g

**GABINET
RTG**

Łódź ul. Nawrot 27 tel. 33 26 79

tel. **57.55.55**

**GABINET
ULTRASONOGRAFII**

Łódź ul. Nawrot 27 tel. 33 26 79



Spółem

„SPOŁEM” PSS OPOLESIE
w Łodzi, ul. Hutora 71

Z A T R U D N I
od zaraz:

★ **ZESPÓŁ KIEROWNICZY**
DO PAWILONU HANDLOWEGO z wynagrodzeniem powyżej 100.000,— złotych (prowizyjny system płac).

WYMAGANE KWALIFIKACJE:

- wykształcenie średnie handlowe (ekonomiczne), staż pracy — 4 lata w tym co najmniej 2 lata na stanowisku kierowniczym,
- wykształcenie zasadnicze handlowe, staż pracy w handlu 5 lat, w tym 2 lata na stanowisku kierowniczym,
- wykształcenie podstawowe i tytuł kwalifikacyjny w zawodzie sprzedawcy, staż pracy w handlu — 9 lat, w tym 2 lata na stanowisku kierowniczym,

★ **SPRZEDAWCÓW**

z wynagrodzeniem powyżej 45.000,— zł. (prowizyjny system płac)
Oddział nie przyjmuje osób po porzuceniu pracy.
Szczegółowych informacji dot. warunków pracy i płacy udziela Dział Spraw Pracowniczych, w Łodzi, ul. Hutora 71, tel. 32-30-85.

626/K

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy

INCOM

Spółka z o.o. (j.g.u.)

Łódź, pl. Zwycięstwa 13.
tel. 51-31-86; 74-24-28; 74-30-38.

POSZUKUJE KOOPERANTÓW

w zakresie robót:

- ★ **TOKARSKICH**
- ★ **FREZERSKICH**
- ★ **SZLIFIERSKICH** (wałki i otwory)

Produkcje seryjne, możliwość współpracy wieloletniej, nieskomplikowane elementy.

330/K

**WIELOBRANŻOWE PRZEDSIĘBIORSTWO
„CENTROPOL”**

Spółka z o.o., w Łodzi,

(jednostka gospodarki społecznej)

Z A T R U D N I

NATYCHMIAST:

- ▲ ZASTĘPCĘ DYREKTORA CENTRALI ds. budowlanych.
- ▲ ZASTĘPCĘ DYREKTORA CENTRALI ds. handlowych.
- ▲ KIEROWNIKÓW zespołów wykonawczych wraz z zespołami (mistrzowie, brzdękusi) we wszystkich specjalnościach budowlanych.
- ▲ MENEDŻERÓW na funkcje kierownicze i samodzielne w centrali przedsiębiorstwa, oddziałach i filiach na terenie innych województw.
- ▲ AGENTÓW, organizatorów działalności gospodarczej (w tym handlowej) o różnych specjalnościach.

Oczekujemy propozycji współpracy w zakresie produkcji, usług, działalności handlowej od osób fizycznych i instytucji.

Oferty z załączonym kwestionariuszem osobowym (w przypadku ofert pracy) kierować: 91-101 Łódź 52, skrytka pocztowa 86.

8135/K

„ODGŁOSACH”
„Ogłoszenia”

PSS

Spółem

ODDZIAŁ GÓRNA PILNIE ZATRUDNI

- **sprzedawców**
- **kierowników sklepów**
- **agentów sklepów**

Oddział zapewnia świadczenia socjalne. Dokładnych informacji udziela Dział Spraw Pracowniczych, ul. Czackiego 16, pok. 28, tel. 84-01-40 lub 84-01-43.

625/K

FORMAR

— znany producent boazerii
PODJAŁ PRODUKCJĘ

IMITACJI ORTALIONU

INNYCH MATERIAŁÓW

— **używanych przez zakłady prywatne**
(nie stosujące badań odbioru jakościowego)

Zainteresowanych prosimy o kontaktowanie się pod adresem firmy w Dąbrowce Wielkiej nr 7 lub w Delegaturze Firmy mającej swą siedzibę w biurze „Polbutu” w Łodzi, ul. Piotrkowska 148/150, pokój 1722.

207/K

FORMAR

Podwyżka czynszu miała pokryć wzrastające koszty administracyjne. — Za co jednak płacić — powiedzieli sobie mieszkańcy — skoro spółdzielnia nie robi nic w naszej sprawie.

Mieszkańcy mówią: — Nie mieszkamy w strefie ochronnej zakładu, mieszkamy już praktycznie na terenie zakładu emitującego pył azbestowy. — No, bo rzeczywiście, skoro strefa ochronna dla zakładów tego typu wynosi 300—500 metrów, a tutaj bloki stoją zaledwie około dziesięciu metrów od bramy zakładu?

— W zakładzie pracownicy wykonują wszystkie czynności w maskach ochronnych, pracują w skróconym czasie pracy i są pod stałą opieką lekarza — dodają mieszkańcy — a nami, którzy na wydzień zakładu skazani jesteśmy przez dwadzieścia czterech godzin na dobę nikt jakoś się nie przejmie.

Przyjmując decyzje o przydziale mieszkań nie wiedzieli o grującym sąsiedztwie. I o to również mają pretensje do Spółdzielni „Lokator”, że jako inwestor przyjęła do eksploatacji i zasiedliła bloki wokół Zakładów Wytwarzania i Uszczelniania Azbestowych „Polonit” mimo zastrzeżeń ze strony Państwowego Wojewódzkiego Inspektoratu Sanitarnego. Zaopiniował on negatywnie lokalizowanie budownictwa mieszkaniowego na terenie strefy ochronnej ze względu na emitowanie dużych ilości substancji toksycznych, takich jak fenol, benzyna, pył azbestowy. Spółdzielnia nie uprzedziła lokatorów o zjawisku emisji szkodliwych pyłów rakotwórczych.

Gdy bowiem w roku 1979 rozpoczęło się zasiedlanie bloków w najbliższym sąsiedztwie zakładu, realny jeszcze był projekt przeniesienia „Polonitu” do Szadku, już jednak wkrótce okazało się, że projekt ten nie zostanie zrealizowany. (Z powodu ograniczeń inwestycyjnych).

Wśród mieszkańców pojawiła się myśl o przeniesieniu do innego bloku, ale uwierzyli w zapewnienia (na piśmie — czarno na białym) Zarządu Urbanistyki Architektury i Nadzoru Budowlanego w Łodzi, że likwidacja zakładu „Polonit” przy ulicy Piekarskiej nastąpi w terminie nie późniejszym niż do końca roku 1985. Zacytujmy to pismo:

Człowiek i środowisko

Oddychając azbestem

„Z uwagi na powyższe realizacja budynku zamiennego dla mieszkańców bloku usytuowanego tuż przy zakładach „Polonit” nie jest konieczna, gdyż jego budowa zakończyłaby się nie wcześniej niż do końca bieżącego pięcioletnia”.

Mieszkańcy wyczekiwali roku 1985. Czekali cierpliwie aż do końca roku, czekali cierpliwie przez cały styczeń, potem luty i jeszcze marzec następnego roku, ale na rychłe przeniesienie „Polonitu” nie zanosilo się. Tymczasem Spółdzielnia Mieszkaniowa „Lokator” podniosła opłatę o 500 złotych.

— Za co jednak płacić — powiedzieli mieszkańcy — skoro spółdzielnia nie robi nic w najważniejszej dla nas życiowej sprawie.

Podwyżki zatem nie przyjęli, placąc nadal czynsz bez zmian. Na krok taki zdecydowała się znakomita większość mieszkańców bloku przy ulicy Urzędniczej 18 i 22. W ten sposób chcieli za protestować przeciw lekceważeniu ich zdrowia i życia oraz bezczynności spółdzielni w obronie ich interesów.

Podjęte zostały wprawdzie pewne kroki dla złagodzenia uciążliwości zakładu, bo w roku 1983 zlikwidowana została produkcja wyrobów TZ, która powodowała emisję do atmosfery fenolu i formaldehydu, wprowadzono katalizatory dopalające benzyny, co spowodowało wyeliminowanie emisji tego związku do powietrza atmosferycznego, przeprowadzono modernizację układu odprowadzającego oraz przeładunku azbestu, jednak Wydział Ochrony Środowiska w piśmie jeszcze z 31 maja 1983 roku przyznał (w piśmie mówiącym o wszystkich dostępnych środkach, które zostały lub zostaną przez zakład wykorzystane), że (...) „w warunkach obecnej lokalizacji, biorąc pod uwagę bezpośrednie sąsiedztwo budownictwa mieszkaniowego, efekty tych prawidłowych technicznie działań będą dla bezpośredniego otoczenia zakładu minimalne. Stąd też jedynym środkiem radykalnie likwidującym zaistniały konflikt jest fizyczna likwidacja zakładu i usytuowanie go zgodnie z wymogami Ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska”.

Odmowa przyjęcia podwyżki nie była zatem ze strony mieszkańców wynikiem braku obowiązku i chęci łamania prawa. Miesiąc w miesiąc odliczali więc z kwitu czynszu 500 złotych. W ten sposób „dług” w spółdzielni urosł do sumy około trzech milionów.

W roku 1987 Spółdzielnia Mieszkaniowa „Lokator” wystąpiła do Sądu Rejonowego w Łodzi. Można powiedzieć, że zadziałała wybiórczo. Wniosła sprawę nie przeciw wszystkim lokatorom, jako całości, ale pozwała ich „grupkami”.

W końcu lutego roku 1988 sąd wydał w jednej z takich spraw wyrok, w którym zaakceptował wszystkie racje mieszkańców od strony humanitarnej, przychylił się jednak do stanowiska Spółdzielni „Lokator” żądającej uregulowania zaległej podwyżki. Nie zasądził jednak mieszkańcom pokrycia ani odsetek ani kosztów sądowych. Od wyroku tego grupa mieszkańców wniosła rewizję do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi. Czekają na rozstrzygnięcie.

Mieszkańcy próbowali w swojej sprawie interweniować już wszędzie i u wszystkich. Zwrócili się do Rzecznika Praw Obywatelskich. Jedną z lokatorek bloku nr 18 w kwietniu 1988 roku otrzymała odpowiedź z biura Rzecznika Praw Obywatelskich, w którym wskazano konieczność „współdziałania mieszkańców osiedla z dyrektorem zakładów oraz z władzami miasta, przy czym stała inicjatywa powinna przede wszystkim wychodzić od mieszkańców (od osób bezpośrednio narażonych na ujemne działanie emisji pyłów do atmosfery)”.

Otucha jednak natchnęła mieszkańców następnym pismo z Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, z października 1988 roku.

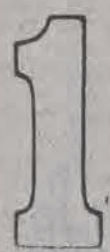
„Rzecznik w sprawie przeniesienia zakładów „Polonit” w inne miejsce zwrócił się również do Prokuratora Generalnego PRL z prośbą, aby Prokuratura, w ramach sprawowanego przez nią nadzoru ogólnego nad przestrzeganiem prawa podjęła kroki w kierunku możliwie szybkiej realizacji podjętych przez władze miasta działań zmierzających do przeniesienia zagrażającego środowisku naturalnemu obiektu przemysłowego”.

Zakłady „Polonit” mają już nową lokalizację — w dzielnicy przemysłowo-magazynowej Dąbrowa. Dlaczego akurat tam? Bo jako dzielnica przemysłowa jest jakby „skazana” na lokalizację tam zakładów przemysłowych. Z punktu widzenia obywateli Dąbrowy sąsiedzi tak jak Zakłady „Polonit” jest nieoptymalny i ich protesty właśnie spowodowały obniżenie w podjęciu decyzji w sprawie nowej lokalizacji dla „Polonitu”.

Zakład przeleżył budynek (a dokładniej jego połowę) po Zakładach Filcowych i w chwili obecnej wykonano już 40 proc. prac związanych z adaptacją tego budynku.

Cały roku 1989 poświęcony ma być na prace budowlane i instalacyjne, dopiero w roku 1990 rozpocznie się faktyczne przenoszenie produkcji. Zakończenie przenosin przewidziano dopiero na rok 1991. Mieszkańcy bloków koło „Polonitu” mają jeszcze kilka lat oczekiwania zanim będą mogli pooddychać powietrzem bez azbestu. Ale „Polonitu” nie chcą również na Dąbrowie!

ZOFIA KEDZIORA



Sport

Lotnią prosto w niebo

Z końcem każdego roku siępią się sportowe plebiscyty. Kto był najlepszy w minionym roku? Kto drugi, a kto dziesiąty? Kto się w pierwszej dekadzie nie zmiescił? Nie zmieszcili się polscy piloci, choć są mistrzami świata i Europy i to zarówno w konkurencjach indywidualnych, jak i zespołowych. W lotnictwie sportowym od lat stanowimy potęgę światową i europejską. Ale o tym — jak wykazują plebiscyty — mało kto wie. Z wyjątkiem Łodzi — na szczęście. W plebiscycie „Dziennika Łódzkiego” mistrz świata Ryszard Michalski był drugi.

Mecz piłki nożnej, mecz siatkówki, koszykówki, hokeja na lodzie i wiele innych dyscyplin sportowych można pokazać w telewizji. Jak pokazać lotnicze konkurencje sportowe? Starty i lądowania, choć w wielu przypadkach bardzo trudne, dla telewidza są takie same, a więc monotonne i mało emocjonujące. Sport lotniczy nie jest widowiskowy. Ale czy to powód, aby o nim milczeć?

Nasi wspaniali piloci wracali z kolejnych mistrzostw z medalami i tytułami oczywiście. I gdzie im urzędowo uroczyste powitanie? W Lesznie. A dlaczego w Lesznie? Bo tam właśnie odbywały się mistrzostwa modelarzy lotniczych. Niech ci młodzi chłopcy, którzy do lotnictwa wkraczają przez modelarstwo, popatrzą sobie na prawdziwych mistrzów, którzy latają w wspaniałych maszynach. Prawdziwych na dodatek.

Czy nie należało zrobić mistrzostw wielkiego, wspaniałego powitania w Warszawie, żeby to pokazała telewizja, żeby nam wszystkim zrobiło się miło, żebyśmy się poczuli lepiej? Można było, ale nikomu to nie przyszło do głowy.

W tygodniku „Sportowiec” pracuje Jerzy Iwaszkiewicz, który jest wielkim entuzjastą sportu lotniczego, może dlatego, że sam jest pilotem. Napisał wiele artykułów, reportaży i felietonów popularizujących ten sport. Redakcja tygodnika „Sportowiec” też typowała 10 najlepszych sportowców 1988 roku do plebiscytu „Przeglądu Sportowego”. I co? Spodziewałam się, że w tym plebiscycie, dzięki Iwaszkiewiczowi, sportowi piloci zajmować będą czołowe miejsca. No, jeśli nie czołowe, to któreś tam. I co? O-ł-ł, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu na liście „Sportowca” nie ma ani jednego sportowca-pilota. Dla sprawiedliwości muszę dodać, że Jerzy Iwaszkiewicz w świątecznym numerze „Sportowca” opublikował duży felieton w obronie sportu lotniczego. Przynajmniej! A bronić ten sport trzeba. Po pierwsze bowiem — starzej się samoloty i o nowych nikt nie myśli. Po drugie — polscy piloci startujący na mistrzostwach jeszcze do niedawna dopłacali do tego interesu. Było i tak, że polska drużyna nie miała jednolitych dresów, co powinno zawstydić władze Aeroklubu PRL. Ale specjalnie nie zawstydiło. Po trzecie — w ogóle trzeba ten sport bronić, bo znaleźli się ludzie, którzy... Ale po kolei.

W Aeroklubie PRL zmieniły się władze. Prezesem został gen. Jerzy Zych. Jest to — jak utrzymuje Jerzy Iwaszkiewicz — człowiek skromny. Nie lubi rozgłosu, kocha ciszę i spokój. W myśl tych światłych zasad zakazał popularyzacji sportu lotniczego. Do tej pory było mało, teraz nie będzie nic. Spokój i cisza. Nikt się nie będzie o nic upominał. I to jest znakomite wyjście.

Władze Aeroklubu PRL na tym przecież nie poprzestały. Wymyślono coś wspaniałego. Otóż Polskę mają rozslawić... lotniarze. Postawiono im zadanie, aby za dwa lata byli najlepsi na świecie. Daj im Boże zdrowie, ale na razie jakoś o nich słychać nie było. Piloci są — ale o nich są. Nie ma takiego sportu. Jest lotniarstwo i należy je popularyzować, choć

nie ma co, bo nie ma wyników. Sytuacja paradoksalna, jak to u nas zwykle zresztą.

Ale popatrzmy na to z drugiej strony. Wzyska się u nas, aby rzeczy z głowy przestawać na nogi. Coś takiego właśnie zrobiono w Aeroklubie PRL. Samoloty są kosztowne, starzej się, inni zaczynają budować lepsze. Benzyna jest droga. Samoloty psują się. Potrzebne są części zamienne. Same kłopoty. Lotnia — to jest to! Lotnia jest prosta. Można ją szybko rozebrać, złożyć. Nie jest kłopotliwa w transporcie. Z lotnią można wdrapać się na biele górę i pofruwać sobie troszkę. Lotnią można nosić na plecach. Ileż to daje oszczędności. Nie potrzeba mechaników, benzyny, części zamiennych. Lotnia nie warczy, nie zatrzuca spalarni powietrza. Same plusy. Prostota, elegancja, skromność. Lotnią prosto w niebo! I ty możesz zostać lotniarzem! Każdy może... No dość tych haseł. Jakis nadzwyczajny entuzjizm mi się, nie wiadomo skąd, uźdwił.

Cały sportowy świat posługuje się coraz doskonalszą techniką. W pracowniach siedzą ludzie i wymyślają nowe tworzywa, tkaniny, sprzęt sportowy, aby osiągnąć coraz to lepsze wyniki. A my znaleźliśmy lepszą drogę rozwoju sportu. Prostota i skromność. Odrzuć wszelką technikę i wróć do natury. Trzeba jeszcze tylko konieczność wymyślić coś zamiast sportu motocyklowego, samochodowego i innych. Zamiast narciarstwa rozwijać leżenie na deskorolkach. Po co grać w hokeja na lodzie? To kosztowne. A gdyby tak hokeja na betonie? Betonu mamy dość i proszę tu nie szukać żadnych metafor.

Widzę ogromne możliwości przed takim myśleniem. Świat stanie w miejscu z podziwu. Czy tylko z podziwu?

BOGDA MADEJ



Nagle zastępstwo

Zapraszam na szampana!

Rok zapowiada się niezłej: rzymski astrolog van Wood (cytuje za „Przekrojem”) twierdzi, że dużo lepszy od poprzedniego. A raczej obecnego — rok astrologicznie zaczyna się bowiem dwudziestego marca... Van Wood sądzi, że w Związku Radzieckim nastąpią ważne osiągnięcia w sztuce, „modzie i kosmetyce. Myślę, że słów astrologów nie można traktować dosłownie, tylko aluzyjnie. To też cieszę się, że będzie moda na ZSRR czyli na głośność i pieriestrojke. Oby ta moda dotarła do wszystkich krajów naszego bloku. Co do kosmetyki to mam wątpliwości. Wolalibyśmy, żeby to, co się dzieje za Bugiem nie miało charakteru kosmetyki, a było generalnym remontem.

W Polsce szczególnie fajnie ma być w kwietniu (?). Wzrosła turystyka (śmiejmy wstąpić — już się nasze biura podróży i hotelarze oraz restauratorzy starają, żeby ojczyźnie miały obryzki inostrancem). Od 11 marca do końca lipca wzmożą się przestępstwa na tle seksualnym. Ciekawe, co to ma znaczyć? Sezon urlopowy, owszem. Ale może też należy to traktować aluzyjnie i rozumieć tak, że ktoś kogós znów u nas wy... Ale kto i kogo?

Według rzymskiego astrologa wyróżnieni przez los będą kobiety i mężczyźni od czterdziestki do pięćdziesiątki. W to nie wierzę. Przecież kobiet w tym przedziale wiekowym nie ma w ogóle. Co do mężczyzn, to się tylko mogę cieszyć — zalapałem się jeszcze!

Jeszcze należy w tym roku ryż, jabłka, jarzyny, kukurydzą, słonecznik. A schab? A salceon? Karbki owszem jeszcze są, ale przecież ma ich nie być!

Szczęśliwymi dniami w obecnym roku będą niedziela (a wolne soboty to już nie!) oraz 1, 10, 19, 28 każdego miesiąca. Rozumiem, że pierwszy, dziesiąty i dwudziesty ósmy. To są dni wypłat pensji, zaliczek, pre-

mii. Ale 19? Coś się astrologowie pomieszali.

Sprzysięga szczęściu brylanty, diamenty i złoto. Nie trzeba być astrologiem i to jeszcze rzymskim na dodatek, żeby o tym wiedzieć.

Horoskopy wymienia jeszcze zwierzęta roku: lew, tygrys, lampart, jaguar oraz orzeł, sokół, paw, bażant i kanarek. Na dobrą sprawę tylko ten ostatni jest dostępny na naszym rynku. I co z nim zrobić? Zjeść? Wypuścić na wolność? Tego sławny rzymsianin nie zdradza.

Choroby roku to schorzenia sercowe, krwotoki, zawały, iktyus, choroby skóry i dyskoptia. To ostatnie jakby mi się zgodziło: w sam Nowy Rok zgąłem się jak szczyr... A propos: co to jest „iktyus”? Czy to aby nie nowy pseudonim AIDS?

Horoskopy indywidualne tj. wg znaków Zodiaku w wykonaniu pana van Wooda nie grzeszą oryginalnością. W „Ex-pressie” są lepsze! Ktoś tam coś załatwi, ktoś się zakocha. A ja? Ja otóż, proszę państwa, mam w drugim półroczu złapać jakieś wielkie pieniądze! Przy- puszczam, że wątpię, jak mawiał Walery Wątróbka, gdyby jednak się spełniło, to nie o mieszkam zawiadomić Drogich Czytelników. Ponieważ podobno mam ich niewiele, (jak oświadczyła pewna anonimowa pani reprezentująca „grupę czytelników z wykształceniem humanistycznym”), to może wszystkich zaproszę na szampana? A szampan w drugim półroczu 1989 br. będzie kosztował... ho! ho! Albo jeszcze więcej...

Szczerze mówiąc, bardziej mnie interesują horoskopy stawiane przez pana premiera i jego ludzi. Są one obiecujące, chociaż... jak dla kogo. Jak słusznie zauważył mój sąsiad z tej kolumny, pan Józef Retman, zachodzi poważna obawa, że nie wszyscy Polacy założą w tym roku prywatne firmy, z udziałem kapitałów zagranicznych ani nawet nie przystąpią do spółek z o.o. Wydaje się bardziej niż pewne, że nawet większość rodaków nie zrobi oszałamiającego biznesu i nadal będzie siedziała na łykach państwowych posadkach. Tymczasem pan wicepremier, który wystąpił w telewizyjnym programie Wojciecha Rzeszczyńskiego nie ukrywał wcale, że ceni sobie wyłącznie ludzi sukcesu, a resztę lekceważy. Coś mi się nie podoba taki rząd, który oficjalnie głosi, że ma mnie w nosie. A przecież złoty medal na olimpiadzie zdobywa zawsze tylko jeden zawodnik w konkurencji?

ANDRZEJ KAROL



Pod prąd

Przecież to nielogiczne, tato!

— Jestem ojcem — powiedział — i jako ojciec proszę, aby mnie pan wysłuchał. Nie, nie oczekuję żadnej pomocy od redakcji. Nie musi mnie pan też pocieszać. Ale jeśli to, o czym chcę opowiedzieć, wyda się panu ważne, niech pan napisze w gazecie parę słów. Być może innym ojcom uda się dzięki temu uniknąć błędów, które ja popełniłem. Bo przecież musiałem gdzieś popełnić, mimo że zamiary miałem jak najlepsze i zapewne w innych warunkach... Widzi pan, mam dorastającego syna, dopiero po maturze. Chłopak zdolny, inteligentny, uczynny. Od najmłodszych lat poświęcałem mu prawie każdą wolną chwilę, wpajając w niego zasady, które uważałem za słuszne. Nie kłam — uczyłem go — nie oszukuj, nie kradnij, ucz się, bądź wytrwały. Tylko to, co sam osiągniesz w pocie czoła, może dać ci w życiu prawdziwe zadowolenie. Wykształconym, uczciwym zawsze łatwiej. Tacy mogą osiągnąć wszystko.

Krótko mówiąc, chciałem wychować syna na mądrego, wartościowego człowieka i wierzy-

łem głęboko, że potrafię tego dokonać, zapewniając mu w ten sposób lepszą, niż moja, przyszłość. Może czasem byłem surowy, może zbyt wymagający, ale chciałem dać mu porządną podstawę. Dalej — myślałem — poradzi sobie już sam. A kim będzie, jaki zawód wybierze, to już mniejsza z tym.

W podstawówce chłopak był jak marzenie. Nauczyciele chwaliłi go, stawiali dobre stopnie. Żadnych kłopotów wychowawczych. Lubiąmy przez kolegów. Byłem z niego dumny, a nie ma dla ojca większej dumy niż z własnego dziecka.

Ale to powoli zaczęło się zmieniać. Chłopak ciekaw był świata, życia, ludzi... Nie trzymał go pod kłosem, nieczego nie ukrywałem. O co zapytał, tłumaczyłem, wyjaśniałem. Nieraz pozwalałem, żeby sam mógł się o czymś przekonać. Co prawda, naj- lepiej uczyć się podobno na cudzych błędach, ale w wielu sprawach nie ma to jak własne. Kto choć raz nie wlaży w pokrzywy, ten nie wie, jak parzyć. Gdy się więc na czymś czasem sparzy — myślałem — tym bardziej będzie umiał odróżnić, co dobre, a co złe.

Niestety, nie wszystko byłam w stanie przewidzieć. Syn coraz więcej widział, rozumiał i coraz trudniej było go przekonać, że tylko dobru i mądrym ludziom mają w życiu dobrze, a tylko głupi i źli — źle. Gdybyż zresztą chodziło jedynie o wyjątki...

Kiedys — pamiętam — zapytał mnie, dlaczego nie możemy kupić samochodu, a nasz sąsiad może i to zachodzi, choć nie ma ani szkoły, ani stanowiska, ani ciężko nie pracuje. Innym razem — skąd rodzice większość koleżanek i kolegów biorą dolary na ciuchy z „Pewexu” na przykład na dzinsy. Pensje otrzymują przecież w złotychkach, a na pewno nie wszyscy mają rodzinę za granicą. Poza tym dlaczego tak dobrych rzeczy nie można kupić w normalnych sklepach. Trudno mi było wytłumaczyć.

W rok czy półtora później zapytał z kolei, czy to prawda, że nawet kiepski hydraulik zarabia więcej niż dobry lekarz w przychodni. Bo jeśli tak, to nie ma chyba sensu marnować tytułu na naukę, z której potem nie ma właściwie żadnego pożytku. Staralem się, jak mogłem, przekonać go, że to nie jest wcale takie proste, że liczy się też kultura osobista człowieka, zakres zainteresowań, wrażliwość... Że nie wszystko zaraz trzeba przeliczać na pieniądze. „Ale dlaczego tak jest?”, dopytywał się natychmiast. „Dlatego w Polsce inteligent na ogół zarabia mniej od robotnika, uczciwy od kombinatora, a dyrektor dużej fabryki od właściciela małego warsztatu? Przecież to nielogiczne!”

Przyznam, że nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, bo... bo chłopak miał dużo racji, a tej nie mogłem, mu przecież przyznać wprost, gdyż przeczyłoby to wszystkiemu, co mówiłem przedtem. Próbowałem odwoływać się do bliższej i dalszej historii, do polityki, ekonomii, ale bez większego przekonania, że ockolwiek może to dać. Czulem, że tracę w jego oczach autorytet, wiarygodność i że wartości, które tak bardzo chciałem w nim rozwinąć i utrwalić, poważnie są zagrożone. Czulem, że przegrywam walkę o mego syna, pokonany przez otaczającą nas rzeczywistość. I nie pomyliłem się.

Jeszcze w klasie maturalnej chłopak oświadczył, że na żadne studia zdawać nie będzie, do państwowej roboty nie pójdzie, a jeśli się uda, to ucieknie z kolegami za granicę, bo — jak to ujął — tam też może nie jest za łatwo, ale przynajmniej wszystko nie stoi na głowie.

Byłem zalamany. Na szczęście perspektywa odbycia zasadniczej służby wojskowej sprawiła, że zdecydował się jednak zdawać na politechnikę. Dostał się bez większego trudu. Ale czy ukończy ją, kiedy i w jakim stylu, nie wiem, bo na razie tajemnicze interesy niż na naukę. Ostatnio przyniósł do domu pięćdziesiąt tysięcy, mówiąc, że zarobił je przez dwa dni. Podobno na bazarze. Ale czy to prawda? Czy nie kradnie? Naprawdę, boję się o niego. Jeden ze znajomych widział go niedawno, jak stał pod „Pewexem”. Może handluje walutą?

A najgorsze, że od pewnego czasu nie mamy prawie o czym rozmawiać. Stał się milczący, arogancki, hardy. Wczoraj powiedział mi, że jestem frajerem. I że on taki nie będzie. Panie redaktorze, to mój jedyny syn!

JÓZEF RETMAN

— Tak mówiłeś. I to była prawda. Słyszałem też twoje głosy aż w Navi oraz głosy wielu innych ludzi. Dlatego powróciłem między was.

— Co mam czynić, panie? Długo czekał na odpowiedź. Trzaski mokre drwa w ognisku, tryskający iskrami, które ułatywały w niebo i tam niknęły jak duchy.

— Uczynisz, Spicimirze, dwa dębany z trucizną i zamkniesz je starannie. Uczynisz także dwie puste skrzynki i zostawisz je otwarte. Wyślesz posłańców do Awdańców i do Pałuki, a każdy posłaniec zabierze z sobą zamknięty dęban z trucizną i pustą skrzynkę. Każdy z nich powie: co wybieracie? Wolicie wypić truciźnę czy odesłać korony komesa dla Dago Pana i Piastuna, który jest znowu w Gnieździe, przywołany z Navi płaczem swego ludu. Kto odesła skrzynkę z koroną komesa, będzie ulaskawiony. Kto zaś tego nie uczyni, umrze w mękach najstraszliwszych. Niechaj ci, którzy chcą uniknąć mego gniewu, zbiorą wszystkie wojska i skierują je ku Sieradzy, aby pokonać księcia Karaka. On poszedł ku Mazowii, ale zamknijemy mu drogę powrotu.

— Tak uczynię, panie. Otrzymają do wyboru: dęban z trucizną albo pustą skrzynkę na koronę komesa.

— Poszukasz Lestków, którzy kryją się po lasach przed zemstą Sauromatów i zbierzesz ich w Gnieździe. I nich nie będą dla tego celu przeszkodą ani wezbrane wojska, ani grzańskie drogi, albowiem każdego kto w tych dniach zginie w mojej sprawie, potrafię na powrót przywołać z Navi.

— Tak zrobię, panie.

— Koczujcie w Gnieździe dużą karawaną kupców, Musliminów, którzy po roztopach chcą ciągnąć na północ ku Estom albo ku Visuli i Witlandii. Każesz im natychmiast ruszyć do Kruszwic, mimo grzańskich dróg. Dasz im dwudziestu ułajonych wojowników, a dowodzą nimi będzie ta oto kobieta imieniem Kłodawa oraz jej dwaj synowie.

Z szeregu Lestków wyjechała wolno rosła kobieta w stroju wojownika, a za nią wystąpiło dwóch młodych mężczyzn, uzbrojonych w nowe kolczugi i nowe hełmy z nosalami.

— Pani Kłodawa wie, co ma czynić, gdy z dwudziestoma twoimi, ale ułajonymi żołnierzami znajdzie się z karawaną w Kruszwic. Ty zaś, Spicimirze, zbierzesz swoje wojska i wolno ruszysz pod Kruszwic, gdyż tam będę na ciebie czekał. Razem pójdziemy na Karaka, zwyciężymy go i weźmiemy łupy.

— A Zyfika, jasny panie? A Herim?

— Herim jest niewinny i darowana mu będzie jego władza. Gdy umarłem i obdarłem moje ciało do naga, on okrył mnie swoim płaszczem, aby nie ušlo z mnie ciepło życia. Imię Zyfiki nie wymieniaj. Myśl o niej tak jak gdyby już jej nie było. Poślij do niej do Kruszwic kogoś, kto rozgłosi, że ja Dago Piastun nazwałem ją umarłą, a liczy się tylko to, co zostało nazwane. Niechaj więc żyje a zarazem nie żyje, gdyż to zwiększy jej cierpienie.

— Tak będzie — wyrzekł Spicimir i włożył głowę pod poję białego płaszcza Piastuna a potem jego złożone dionie znalazły się w ciepłych dionach Piastuna i znowu przekonał się Spicimir, że ma przed sobą żywego człowieka.

Na pożegnanie powiedział Piastun:

— Rozgłoś wśród wszystkich wojowników, że kto zginie w walce z Sauromatami, Zyfiki albo w walce z Karakiem, tego przywołam z Navi jako i ja zostałem przywołany. Ta władza została mi dana dopóty, dopóki będą trwały dni mego gniewu.

Taczala pozostał na Wroniej Górze, a Kłodawa i jej dwaj synowie, pojechali ze Spicimirem w stronę Gniazda. W drodze Spicimir zagadnął Kłodawę.

— Gdzie, pani, spotkałaś Piastuną? Czy był wtedy martwy, czy żywym człowiekiem?

— Był na wpół żywy, a na wpół martwy. Nie pytaj jednak, gdyż zakazano mi opowiadać.

To powiedziaławszy wzięła do ręki krótki bat z długim biczkiem i strzeliła nim głosem tuż nad uchem Spicimira, aż ten skulił się jak gdyby w koło twarzy świsnęła mu strzala.

Zyfika swój gniew wyładowała na Ludce. Nie zważając, że tamta jest w siódmym miesiącu ciąży, bila ją pięścią po twarzy i głowie, aż Ludce krew pociekła z nosa i krzycząc przeraźliwie uciekła do komnaty Herima. Ale nie zdołała

nawet poskarżyć się mężowi, gdyż tuż za nią Zyfika weszła do Herima, przegnała od jego łóża Ludkę i oświadczyła z pogardą:

— Ona opowiada, że lud wywołał Piastuną z Navi, a on nazwał mnie „umarłą”.

— Powtarza to, co mówią w grodzie — usiłował załagodzić gniew Zyfiki.

— Mam dosyć kłamstw. Chyba nie wierzysz, że można kogoś wywołać z Navi.

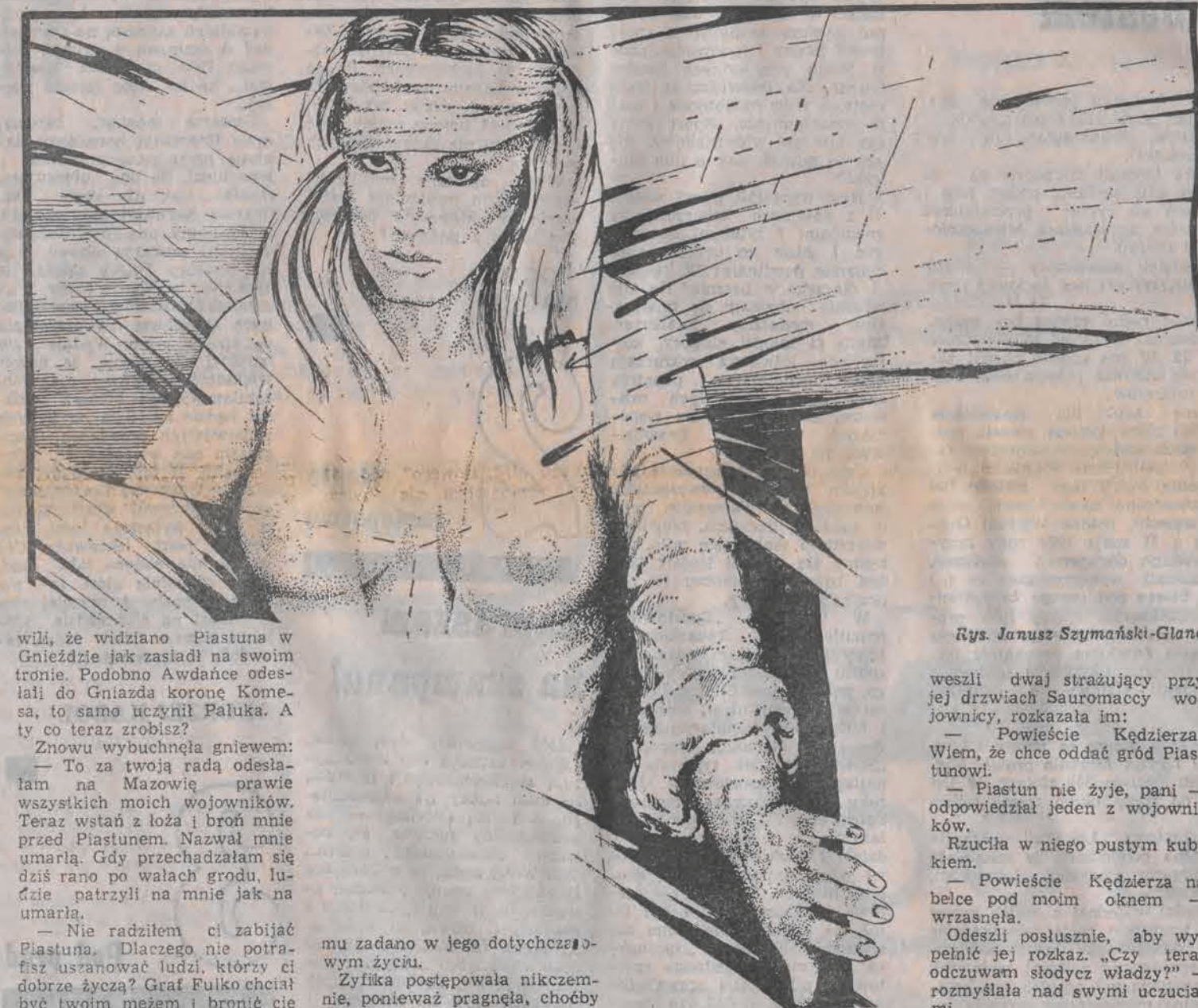
— Można — stwierdził Herim. — W Dzień Zmarłych na rozstajach dróg pał się ogień, aby zmarli mogli się ogrzać. Zostawia się dla nich jedzenie, aby mogli nakarmić swoje głodne żołądki. Jeśli ktoś zna sztukę czarów, mógł wywołać Piastuną.

— Sztuką czarów można wywołać ducha, ale nie żywego człowieka.

— Wczoraj, jak wiesz, przybyła do Kruszwic karawana kupieckich wozów. Musliminowie przynieśli mi do kupienia buty z babilońskiej skóry. Mówiłaś.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

weszli dwaj strażujący przy jej drzwiach Sauromaccy wojownicy, rozkazali im:

— Powieście Kędzierza! Wiem, że chce oddać gród Piastunowi.

— Piastun nie żyje, pani — odpowiedział jeden z wojowników.

Rzuciła w niego pustym kubkiem.

— Powieście Kędzierza na belce pod moim oknem — wrzasnęła.

Odeszli posłusznie, aby wypełnić jej rozkaz. „Czy teraz odczuwam słodycz władzy?” — rozmyślała nad swymi uczuciami.

I podeszła do okna, aby widzieć jak wieszają Kędzierza. Z jej rozkazu. Dla jej kaprysu. Z mocy jej królewskiej potęgi...

— Pora już, Piastunie — powiedziała Arne, zdejmując nogi z łożka i stawiając stopy na miękkiej skórze pokrywającej podłogę. — Spójrz w okno. Zaczyna zmierzchać.

Dago przeciągnął swoje nagie ciało i oblizał językiem wargi obolałe od gwałtownych pocałunków. Od miesiąca — z krótkimi przerwami na wyjazdy do lasu i spotkania z Lestkami, a potem ze Spicimirem na Wroniej Górze — przebywał w zamku w Kruszwic i kochał się z tą kobietą. Niepomna na groźbę jej niebezpieczeństwo od Zyfiki i Kędzierza, przyjęła go, gdy tylko się pojawił, dala mu swoje ciało, dostarczyła wiadomości uzyskanych od byłych wojowników. To ona pomogła mu zorganizować potajemne spotkanie z Lestkami, prześladowanymi przez Sauromatów, opłacała Sauromatów, który z sali paradnej dworzyszcza ukradł dla niej Tyrfinga. „Wszystko złoto i dobro zawdzięczam kobietom” — powiedział jej kiedyś Dago. — „Zyfika sprowadziła na mnie zło, Kłodawa i ty, Arne, otwieracie mi drogę do tronu. Czy wiesz jak siebie nazywam? Władca Zamtuza,

gdy widziała w Plocku obdarzonego z odzieży Piastuną. Czula się wtedy najszcześliwszą istotą na ziemi. Nagi trup leżał u jej stóp, a ona sądziła, że stanie się królową Polan. Dlaczego tak się nie stało? Czemu Spicimir zamknął przed nią bramy Gniazda i Poznania, a Awdańce, Jaszczół i Pałuka zamówili sobie korony komesów? Dlaczego nie otrzymała całego państwa tak jak otrzymała od Kędzierzy niezdobyta Kruszwic?

Zdjęła z włosów Świętą Andale i położyła ją przed sobą na stole, patrząc na złoty kamień. Herim miał rację, mówiąc, że nie błyszczy tak jasno jak błyszczał na czołe Piastuna. Ale dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?...

Czula w ustach słodki smak miodu. Dago mówiła jej, że władza jest słodsza od miodu. Czemu nie czuła tej słodyczy, a coraz częściej miała wrażenie, że napęnia ją goryczą.

Klasnęła w ręce, a kiedy

(37)

Ojciec Dziwek. Nigdy nie pojmę, dlaczego zwykłe dziwki zachowały dla mnie więcej wierności niż ci, którym dałem płaszcze wojowników. Wierz mi, Arne, że jeśli zasiadę kiedyś znowu na tronie, każda dziwka znajdzie u mnie przedziel postuchanie niż najświetniejszy komes. A może świat to wielki zamęt, w którym tylko zwykłe dziwki nie udają, że są czymś więcej niż dziwkami i przez to pozostają najbardziej uczciwe?”

Arne czuła się szczęśliwa, że choć przez tak krótki czas ma go jak gdyby tylko dla siebie i jest on od niej tak bardzo zależny. Wierzyła jak wszyscy, którzy zetknęli się z Piastunem, że był martwy, ale z Navi wywołał go krzyk ciemnego ludu. Bała się więc go jak ludzkiego żywiołu, który umierał, ale ten lek jeszcze bardziej ją podniecał i pociągał ku niemu. Była gotowa poświęcić dla niego życie, choć zdawała sobie sprawę, że tacy jak on nie odpłacają dobrem za dobro, ponieważ ich wielkie cele każą żyć poza dobrem i ziemi.

Ubierał się pospiesznie, ale starannie. Naciągnął obcisłe wełniane spodnie, lnianą koszulę i założył podkładaniec, na którym bez uwierania dobrze leżała misterna kolczuga z bioną z setek drobniutkich kółeczek. Zapiał pas skórzany z krótkim mieczem, na ramieniu zawiesił ramię z Tyrfingiem.

— Czy wiesz, co robi Herim? — zapytał.

— Ciągłe udaje chorego. A dzisiaj Zyfika pobila Ludkę, gdyż tamta powiedziała, że podobno wyszedł z Krainy Zmarłych.

Nawet Herim nie miał pojęcia, że Piastun ukrywa się w Kruszwic, u Arne. Ale w zamęcie wiedziano o każdym wydarzeniu we dworze, dziwki potrafiły wydobyć z każdego kto tu był wszystkie nowe wieści, a nawet plotki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nałożyć na głowę postębrany kopulasty hełm z nosalem, który kupił dla niego Kłodawa. Ale odłożył go na bok.

— Rozczesz mi włosy — poprosił Arne. — Chcę być dzisiaj piękny.

— Zawsze jesteś piękny, Piastunie — oświadczyła z przekonaniem.

A potem długo cesała jego białe długie włosy, które wczoraj mu umyła w pachnącej ziołami wodzie z mydłem, aż stały się puszyste i miękkie.

— Nadeszły chwile mego gniewu — rzekł Dago, podając głowę pod grzebień Arne. — Powiedz mi, czego ode mnie żądasz w zamian za dobro, które od ciebie otrzymałem? Powiadają, że nie ma znaczenia, co człowiek mówi w chwili gniewu. Ale mój gniew będzie inny niż u innych ludzi. Jedynym powołam do życia, a innym życie zabiorę. Jednym zabiorę wszystko, a drugim dam wszystko. Co mam dać tobie?

— Na swój dwór mnie nie weźmiesz, gdyż wszyscy zaraz się domyślą, że ukrywałeś się w zamtuze. Nawet pani Kłodawa nie wie, gdzie zamieszkujeś. Nie mogą mówić, że nie pojawili się z Navi, ale z zamtuza. Chcę tylko, abyś mi pozwolił mój zamtuż przenieść z Kruszwic do Gniazda. Wtedy będę blisko ciebie, a ty kiedy zechcesz mego ciała, będziesz mnie mógł zawołać.

— Tak się stanie — powiedział Dago. — A kiedy cię wezwę, opowiesz mi co mówią moi moi, co mówią o mnie moi przyjaciele, z czego są zadowoleni, a czego się boją. Tylko w zamtuze ludzie pokazują swoje prawdziwe oblicze, a ja chcę znać prawdę.

— Tak się stanie — powtórzyła słowa Piastuna.

A kiedy zapadł zmrok, podała mu szarą opończę z kapturem, sama narzuciła na siebie podobną i obydwoje opuścili podgrodzie, kierując się ku bramie grodu.

C.D.N